**Nr. 9.** Lwów, Niedziela dnia 29. Października 1876 r. **Tom IV.**




**ROK III.**

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

## LUŹNE UWAGI.

IX.

Przemysł drobny.

Tyle pięknych mów kandydackich słyszeliśmy w tym roku, tyle pięknych projektów i jeszcze piękniejszych przyrzeczeń, iż zdawałoby się, że na widnokręgu Galicji nie ma ani jednej sprawy, któraby już nie była wskazaną i omówioną. Tymczasem panowie kandydaci, puszczając się po większej części na bystre nurty polityki, a gubiąc z oka to, co nas najbliżej powinno obchodzić, pominęli nie jednę rzecz taką, którą powinniśmy się zająć niezwłocznie, jeżeli chcemy przeszkodzić, by kraj nie ubożał z dniem każdym.

Do spraw tak ważnych, piekących, należy sprawa domowego przemysłu. Niektórzy kandydaci dotknęli jej z lekka, inni pominęli ją milczeniem, bo albo nie czują potrzeby jej załatwienia, lub też wcale jej nie widzą.

Na innem miejscu umieszczamy obszerny artykuł, poświęcony domowemu przemysłowi; tu rzucimy tylko kilka uwag, zwróconych do reprezentantów naszego kraju.

Od dłuższego czasu słyszymy powtarzane hasło: Przez oświatę do dobrobytu! Hasło to, wzięte dosłownie, jest utopią. Nędzarz łaknący chleba, uczyć się nie będzie; dopiero człowiek mający pod nogami jaki taki grunt materjalny, weźmie się do nauki i korzyść z niej odniesie. Że jednak z drugiej strony, bez pewnego rozwoju inteligencji, nie sposób także myśleć o poprawieniu bytu materjalnego, więc w krajach, w których daje się czuć brak oświaty i dobrobytu, opieka nad pierwszą i drugim powinna biedz równorzędnie. Krótko mówiąc, przez oświatę powinniśmy dążyć do dobrobytu, a przez dobrobyt do oświaty.

Francja jest bogatą, powiedział p. Juljusz Czerkawski w sali ratuszowej, bo tam każdy coś robi. Galicja jest biedną, dodamy, bo tu wieśniak całą zimę nic nie robi. Jeżeli w tem próżniactwie dalej żyć będziemy, jeżeli nie spożytkujemy sił domowych, nie zadługo powiemy sobie, że jesteśmy skończonymi żebrakami. A wtedy nie pomogą nam nawet miljony, przeznaczone na oświatę ludu!

O cóż więc idzie? Idzie głównie o to, aby przyszły Sejm galicyjski, zaraz na wstępie zwrócił swoją uwagę na sprawę drobnego przemysłu. To co dotąd uczyniono w tym przedmiocie jest niczem — wszystko pozostaje jeszcze do zrobienia. Usiłowania jednostek także tu nie pomogą, bo jednostki narodów nigdzie nie zbawiły. Ponieważ w całej Galicji nie ma powiatu, w którymby ta lub owa gałąź przemysłu drobnego nie mogła się pomyślnie rozwijać, należy przeto pozakładać szkoły powiatowe, uczące przemysłu domowego, które dla naszego ludu będą prawdziwemi szkołami freblowskiemi. Wieśniak nie posyła dziś chętnie dzieci do szkoły, ponieważ z tej nauki nie odnosi ani on, ani jego pokolenie, bezpośredniego pożytku. Ale gdy dziecię ucząc się czytać i pisać, nauczy się równocześnie takich robót, które bądź w domu rodzicielskim okażą się praktycznemi, bądź dadzą się spieniężyć, wtedy włościanin każdy sam syna do takiej szkoły odprowadzi.

Ze szkół powiatowych, nauka i praca rozlewać się będą na wsie okoliczne, co widząc większi właściciele i gminy pojedyncze, do dzisiejszych szkółek, świecących pustkami, wezmą nauczycieli, którym przemysł domowy obcym nie będzie, poczem kraj szybko i normalnie zacznie się rozwijać.

Choćbyście sto politechnik założyli, przemysł nie powstanie, bo nie technicy przemysł stwarzają, lecz on ich do życia powołuje; przemysł zaś zdrowy, mający przyszłość i nie będący bańką mydlaną, która pryska za lada wiatru podmuchem, tylko tam może się rozwinąć, gdzie przemysł drobny, domowy, zbudował dlań trwałą podstawę, bo on wyrabia robotników i wskazuje drogi zbytu.

Kilka tych słów rzucamy luźnie, zwracając je do reprezentantów naszego kraju. Niech hasłem ich będzie: Przez dobrobyt do oświaty, przez oświatę do dobrobytu!

---

# ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

*(Ciąg dalszy.)*

Stoją sosny jak zajrzeć, gdyby słupy w gotyckiej świątyni, po nad któremi szumi modlitwą nieustanną zielonych gałęzi sklepienie. Igłami posypana ziemia, rzekłbyś posadzka marmurowa, po której biegają wystające korzenie sosen, jak mozajkowe wysadzanie. A piękne są te kolumny uciekające w górę ku niebu, pnące się do światła i słońca, siwe u spodu, czerwieniejące się jakby się paliły ku wierzchołku, piękne, jakby je ręka budowniczego rozmierzyła i różnobarwnemi wysłała marmury. W taki to las prastary, nietknięty siekierą, wjechała kolebka, a mimo skwaru dnia gorącego, miłe obwiały ją chłody... rozwite świeżo igły balsamiczne roztaczały wonie. Aliści po kwadransie jazdy rysować się zaczęły owe drzew słupy i z po za nich ukazała się polanka, wskróś taką samą puszczą okolona w dali. W pośrodku niej jakiś dziwny widać było budynek na wzgórzu. Droga wiła się po piaszczystej dolinie, potem bokiem pagórka, ku wielkiej bramie drewnianej, wśród wysokiego ostrokołu otaczającego niezbyt rozległą przestrzeń z zabudowaniem i dworem. Ztąd tylko wysokie i spiczaste dachy widać było i wznioślejszą kopułkę jakiejś stojącej w pośrodku kaplicy.

— Niechże tam Hryszka ściągnie dobrze licowe i w garść je weźmie — rzekł Żeliga odwracając się ku powozowi — bo konie zlęknąć się mogą niedźwiedzi.

— A gdzież są niedźwiedzie? — zapytał nieco strwożony Barciński.

— Głupstwo to moje... parę ich chowam, na warcie są przy bramie — rzekł Żeliga, — ale dla nowyh koni to postrach.

— Przecież na łańcuchach? — spytał p. Marcin.

— Dziś w budach — odparł wiozący — ale gdy ja tu sam jestem, to je wolno po dziedzińcu puszczam, bo Marucha i Meszka dobrze mnie znają. Wychowało się to ze szczeniąt we dworze.

P. Marcin rozciekawiony, przypatrywał się dworowi, którego budowa wcale do zwykłych szlacheckich podobną nie była.

Brama drewniana wysoka, pod gątem z dwiema po bokach furtami, ze wschodkami do nich, zamczysta, kuta, wyglądała niemal na forteczną. W szczycie jej pod osobnym daszkiem, tkwił krzyż i na nim rozpięty Chrystus jak to bywa po klasztorach.

Zaraz za nią ukazał się dziedziniec trochę większy niż się spodziewać było można, zapełniony wielą dziwacznemi budowlami drewnianemi. Cieśle co ją wznosili, niepospolici być musieli mistrze w swem rzemiośle, bo budynki stały, gdyby cacka, pięknie rzezane, ozdobne, jak u nas nie widać, a mało gdzie podobnych i na obczyźnie chyba w Szwecji.

Przedniejsze miejsce zajmował dosyć duży dwór z wysokim dachem o dwóch kondygnacjach, do którego przytykała kaplica otoczona gankami i połączona z domem galerją krytą.

Dwór nie bielony z posiwiałego drzewa, był pozoru poważnego a smutnego, przecież wspaniały dosyć. Jodły pozasadzane po bokach, wyrosłe ogromnie, stulały go z boku czarnemi gałęźmi.

Szarpnęły nieco konie poczuwszy niedźwiedzie, które stały po obu stronach bramy w rodzaju bud strażniczych przekroczystych, z mocnych belek zbudowanych. W nich widać było Meszkę i Maruchę, które wdrapawszy się na stojące w pośrodku drzewa, ciekawie wyglądały na wjeżdżających. Były to dwa bure niedźwiedzie tłuste i wypieszczone, a mimo tuszy tak po drzewach łaziły jak koty.

W dziedzińcu wolno chodziły psy niemal takiego wzrostu jak niedźwiedzie: ale znać łagodne, bo ledwie na nieznanych ludzi szczeknąwszy, odeszły zaraz na boki i i pokładły się przypatrując się im z daleka.

Gdy wózek do ganku poszedł, a z niego wysiedli panowie, Żeliga lice rzucił koniom, które wolnym truchtem do stajni same pobiegły, i u jej wrót stanęły. Przywitał je tam brykając ogromny kozioł, z którym widać dawno przyjaźń je łączyła, bo się im zaraz począł po nogach plątać i aż do pysków podskakiwać.

— Miły Jezu! a cóż to tu u waszmości wszelakiego stworzenia — zakrzyknął pan Marcin postrzegłszy z sieni wychodzącego na spotkanie młodego lisa, hodowanego wilczka i psiarstwa różnego co niemiara. Wszystko to rzuciło się witać skomląc Żeligę, obrywało mu poły, i lizało po nogach, aż widząc też tu przybywającą kolebkę, musiał ich rozpędzić na zwykłe legowiska.

Na świśnięcie jedno i skinienie, jak czarodziejską laską tknięte stworzenia te odeszły i pochowały się w swem miejscu, znać bardzo do posłuszeństwa nawykłe.

— Był czas, panie bracie — rzekł Żeliga — gdy prawie z ludźmi żyć przestałem naówczas potrzebując jakiegoś żywego towarzystwa, zamknięty w tej pustelni hodowałem zwierzęta, uczyłem je, zabawiałem się niemi; i powiem wam, nieraz łatwiej mi było z nierozumnemi istotami dać sobie radę niż z ludźmi, braćmi mojemi. Wszystkom to u nich znajdował czem grzeszym my, krom jednej obłudy, dopiero zły człek, złe zwierzę kłamstwa nauczyć może.

Powóz pani Marcinowej potoczył się w tej chwili przede dwór z niemałem zdziwieniem służby, która za ten pustynny, nie wiedzieć ostróg czy klasztor, z jakąś obawą spoglądała. Sama nawet pani przestraszona była dziką fizjognomją ustroni tej, której straż zwierząt nadawała osobliwą powierzchowność.

— Weselej tam u was w Barcinie — odezwał się Żeliga, wysadzając z kolebki p. Marcinowę, — ale się nie lękajcie, zwierzęta oswojone, posłuszne i łagodne, żadne ani zaburczy na człowieka. Witam was w mojej pustelni, w której smutnych lat dużo przeżyłem w rozmyślaniu. Przebaczcie, że popas wasz tu nie będzie bardzo wygodny.

Dotąd żywy duch się nie pokazywał, bo nawet wrota otwarły się jakby same i odźwiernego widać nie było, ale nareszcie na odgłos dzwonka zawieszonego w ganku, który Żeliga poruszył, z bocznego budynku wyszedł naprzód staruszek, odziany biało, poważny i miłego oblicza, za nim dwa karły po węgiersku przystrojone i dwa chłopaki w szarej barwie, jak ten co z wózkiem Żeligi przyjechał. Znać to wszystko nawykłe było do wielkiego porządku i nie miało prawa ukazać się dopóki nie było zawezwanem. Staruszek wiodąc za sobą ten dwór, przystąpił milczący do ganku, a służba rozdzieliła się na swoje miejsca, karły stanęły w sieni przy ławie, na której widać było sieci, które wiązały, gdy nie było co innego do roboty; chłopcy przy drzwiach prowadzących do wnętrza domu.

— Otóż i mój cały dwór, rzekł Żeliga, proszę państwa do środka.

Tak to jakoś mimo jasnego dnia białego na bajkę wyglądało, tak było dziwaczne że Barcińscy i panna Agnieszka nawet, patrzali ust nie śmiejąc otworzyć; Justysia tylko cieszyła się znajdując wszystko dziwnie pięknem.

W sieni na powbijanych rogach wisiały już gotowe sieci na grubego zwierza, rogi, trąby, torby i najrozmaitsze przybory myśliwskie. Do koła otaczały ją ławy dębowe, z boku stały dwa wielkie stoły na krzyżowych nogach. Zegar, zwykły stróż przedsieni, w dębowej także szafie zamknięty, poważnie sobie w kącie klekotał. Ale był też osobliwszy jak i cały dom. Na cyferblacie z kosą i klepsydrą, wyrażony był czas lecący, a kosa urządzona misternie cięła nieustannie. Sypały się z pod niej głowy ludzkie, połamane laski, buławy, berła, korony i potargane wieńce i poszarpane księgi. Na czarnej karcie po nad godzinowem kołem, białemi głoskami z kości ludzkich stało wypisane:

*Momento mori.*

Krótko zatrzymali się tu goście, Żeliga wprowadził ich zaraz do głównej izby, która była cała dębiną ciemną wykładana, z obrazami w ramach i lisztwach wielkiemi niepospolitego pęzla. Pierwszy rzut oka na nie dał zaraz rozpoznać historję Abla i Kaima. Wybór tego przedmiotu zadziwił wszystkich, a główny obraz zabójstwo wyrażający, przeraził okropnością, którą malarz umiał nader silnie wystawić. W rysach Kaima z podziwieniem postrzegli jakby odmłodzoną twarz Żeligi; udali wszakże iż jej nie poznają, pan Marcin tylko pobladł i zmięszał się.

Okna tego pięknego pokoju wychodziły na ganek z balasami zwieszony nad urwiskiem wzgórza, na którem stał dwór cały, i widać ztąd było naprzód rzeczkę z drugiej strony dworu zakrytą, dalej wielką przestrzeń piasków i sine lasy pasami porozkładane daleko na widnokręgu. Czarna jodła opierała się tak o balkon, że gałęzie jej prawie w okna wchodziły. Obraz był dziwnie dziki a smutny, ale wspaniały rozmiarami; ani jednej budowy ani chaty, ani wioski, jak okiem zajrzeć tylko żółte piaski i sine lasy, a u góry nieba przestrzeń ogromna.

I całe wnętrze tego domu, jak ten krajobraz w oknach, oblane było wyrazem jakiejś niewysłowionej tęsknoty bez nadziei, smutku bez końca, bolu rozłożonego na wieki, wyglądało na klasztor pokutnika, na pustkę, której wrota mogą zapaść, i wieki przytrzymać człowieka w głuchej ciszy, w odosobnieniu od całego świata. Wszyscy goście uczuli zarówno niepokój jakiś i ogarniającą ich tęsknotę, nikt nie śmiał ust otworzyć, stali, patrzyli zdumieni, a gospodarz obok nich milczący także i pogrążony w sobie. Jakaś tajemnica straszna wycisnęła piętno na tem schronieniu do więzienia za karę podobnem

— Spocznijcież państwo w tej smutnej pustelni mojej — rzekł wreszcie Żeliga — prawda ponurą jest, przerażającą, alem ja przywykł do niej przebywszy długie lata sam jeden w tej ciszy. Ona mnie nauczyła wiele, ona zrobiła człowiekiem. Wy z sobą przynosicie tu trochę wiosny, młodości, wesela, rozbudzacie ściany milczące, które prawie ludzkiego nie słyszały głosu, zostawiacie mi po sobie niezatarte wspomnienia, ale was ta lodownia ostudzi.

Klasnął w ręce Żeliga i we drzwiach pokazały się karły.

— Do stołu? — spytał.

— Gotowo — odpowiedziano.

— Dobrze — rzekł, podając rękę pani Marcinowej — proszę państwa; ale nie spodziewajcie się wytwornej kuchni ani wspaniałego przyjęcia, chciałem was tak ugościć, jak sam żyję, po wiejsku.

— Niepospolity dziwak z tego Żeligi — szepnął na ucho pannie Agnieszce Barciński, tegom się nie spodziewał, powiem asińdźce, to do niczego niepodobne.

Przeszli jeden pokój dosyć nagi, w którym tylko wisiał jeden wizerunek mężczyzny dość z twarzy do Żeligi podobnego, ale we zbroi i płaszczu z gronostajami; znaleźli się zaraz w izbie jadalnej od dziedzińca, w której stół zastawiony był skromnie, istotnie po wiejsku, ale dziwnie ze staroświecka. Obrusy były odwieczne, szyte bogato, ciężkie misy i talerze z fajansu wrzożystego dawnego, dzbany gliniane polewane, kształtów niezwyczajnych, szkło weneckie, wielce mi-

sternej roboty, nawet sztućce z rękojeściami rzeźbionemi z koralu i kości słoniowej, nosiły na sobie cechę niezwykłą i starą. Sreber było prawie nie widać, cynę, glinę, szkło tylko, ale może nad srebro kosztowniejsze. Karły z chłopcami posługiwali do stołu. Staruszek siwowłosy, kredencerz czy marszałek dworu, po cichu nimi dowodził, ale przybrany bogato i przy szabli. Objad składał się z potraw prostych, zwyczajnych, lecz wielce starannie przyrządzonych.

— Jeszcze jak ten dom mi za schronienie służy drugi pono raz gości przyjmuję — rzekł gospodarz — nie mam więc nawet potrzebnego ku temu przyboru i staremi gratami obchodzić się muszę, pradziadowskich to jeszcze kredensów ostatki. Lepsze one widziały czasy.

— Długoż pan tu samotnie tak zamieszkiwałeś? — zapytał Barciński, który wszystko oglądał nader ciekawie.

— O długo, bardzo długo! odparł Żeliga smutnie — ale o tem lepiej nie mówmy, dziś już to przeszło, bom na świat powrócił. Panno Agnieszko dobrodziejko — przerwał gospodarz — proszę, racz rozgospodarować za mnie, jeśli wolno tej łaski żądać, jam zły w domu rządca, choćbym najgościnniejszym być pragnął. Bądź więc tak uczynna, jakąś być zwykła, a pomóż wiernemu słudze rozporządzając jak we własnym dworze.

Na te słowa pełne znaczenia, panna Agnieszka mocno się zarumieniła, ale mimo przywiązania do Żeligi, w tej chwili radaby się była wyrwać z gościny jego, tak jej ten posępny dwór i obyczaj jego przestraszał. Nie mogła sobie wytłumaczyć dla czego te karły, niedźwiedzie, psy, czarne komnaty, niezrozumiałe obrazy niepokoiły ją, jak zaklęty zamek w bajce jakiej dziecinnej. Sam Żeliga otoczony tem wszystkiem, królujący w tem państwie tajemnie, inny i straszniejszy się jej wydawał.

Wszyscy byli posępni prócz Justysi, której wesołości nawet ta atmosfera ołowiana przydusić nie mogła, dziecinnie bawiła się, zaglądała, śmiała, ciekawiła, pytała o rzecz każdą. Na ścianach w jadalni pełno było wizerunków mężczyzn i kobiet, p. Marcin zauważał nad niektóremi mitry książęce, na kilku płaszcze gronostajowe, w rękach buławy i laski, dobrze znane herby u góry.

Starczyły one za nazwisko, ale byli to przodkowie gospodarza, po mieczu czy po kądzieli? Rysy twarzy Żeligi wymownie świadczyły o pokrewieństwie ze staremi portretami.

— No, ale pan teraz już tu mieszkać przestałeś? spytał Barciński.

— Teraz już tu nie mieszkam — odparł wzdychając Żeliga — przyjeżdżam czasem, a trzymam wszystko jak było, aby uchowaj Boże burzy mieć się gdzie schronić.

Zamilkli znowu, tylko Justysia z dawną poufałością zaczepiała starego przyjaciela, uśmiechając mu się.

Tak dosyć smętnie przeszedł objad cały, i po obfitym ale skromnym posiłku, wstawszy od stołu, znowu wrócili do dawnej salki z widokiem na piaski i bory; ale tu ich nie długo zatrzymał gospodarz, postrzegłszy z jaką obawą oczy się zwracały na ów obraz Kaima.

— Widzę — rzekł — że ta moja pustelnia trochę was zaciekawia — rzekł — więc już może i resztę jej obejrzeć zechcecie.

To mówiąc odemknął drzwi boczne i powiódł ich do obszernej izby od dołu do góry założonej księgami, tak że wcale w niej ścian nie widać było. Justysia rzuciła się z radością i okrzykiem postrzegłszy razem ksiąg tyle, ile ich jeszcze przez całe życie nie widziała.

Klasztorem i pustką wiało wszakże od sali ciemnej, ponurej, w pośród której niski stół pokryty suknem dźwigał ogromne foljanty z klamrami, nie mieszczące się na półkach, i szacowne rękopisma w futerałach. Z okna widać było tylko wnijście do kaplicy.

— Cóż to? koniec domu? spytał pan Marcin, nie widzę dalej drzwi, a zdawał mi się większy?

— Jest tu przecie ich aż dwoje — odparł gospodarz — tylko misternie schowane jedne wiodą do sypialni, drugie do pokoju w którym się czasem coś zrobiło.. ot zaraz...

Wszyscy patrzali po ścianach, gdy Żeliga dotknął sprężyny, szafa z księgami poruszyła się, odskoczyła i po za nią ujrzeli maleńką, prawdziwą celę pokutnika. Zajrzawszy w nią kobiety krzyknęły, a p. Agnieszka cofnęła się przerażona.

Opasywały ją cztery nagie białe ściany; na jednej z nich wisiał wielki krucyfiks, pod nim klęcznik z trupią głową, dalej stół, stołek, dzban do wody, a co najstraszniejszem się im wydało, to zamiast łóżka, stojąca na podstawach trumna czarna dębowa, której wieko obok oparte było o ścianę. W niej widać było posłanie z grubego sukna, małą poduszkę podobną i grubą wełnianą kołdrę.

Pan Marcin nachmurzył czoła, drzwi się lekko przymknęły, a panna Agnieszka dojrzała jeszcze na kołku pas żelazny, dyscyplinę i włosiennicę.

— O! o! coś ten człek grubo musiał nagrzeszyć — rzekł sobie w duchu Barciński, kiedy się na taką skazał pokutę.

Żeliga z drugiej strony przycisnął guz na półce i druga szafa otwarła się, a gospodarz wprowadził ich do obszernej izby, nieco jednak od poprzedzającej weselszej. Tu też i sprzęt był wykwintniejszy, bióro, księgi, przybory kancelaryjne staroświeckie, a po ścianach wisiały przepyszne zbroje, buławy, hełmy, misiurki, koszule żelazne, rzędy na konie, sadzone kością i macicą, sztućce, pistolety i szable bogato oprawne.

— Tu aż raźniej odetchnąć — zawołał p. Marcin—uśmiecha się człowiekowi sprawa rycerska, a masz też pan tak piękne tu rzeczy, jakich teraz nigdzie nie zobaczy.

I oko aż rozpaliło się szlachcicowi, a kobiety także jęły się rozglądać w rynsztunku już podówczas ledwie kędy spotykanym. używanym więcej do parady jak do boju.

Naprzeciw bióra nad stołem, zatrzymał Justysię portret kobiety, której rysy piękne, łagodne a smutne przypominały bardzo wczoraj poznanego młodziana.

— A! niech no matusia patrzy, jak ta pani do kogoś podobna — zawołała Justysia — do kogoś, cośmy go wczoraj widziały, ale to tak... ale tak...

— Jest wizerunek siostry mojej, a matki tego, który państwa wczoraj na noclegu miał szczęście przyjmować — odezwał się Żeliga — żywy jej obraz ten mój siostrzan, i za to go jeszcze więcej kocham że mi Teresę tak bardzo przypomina, ale bo też podobieństwo uderzające.

Wszyscy to potwierdzili... p. Agnieszka na której portret ten zrazu nieco przykre jakieś zrobił wrażenie, lżej potem odetchnęła.

(C. d. n.)

---

# O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

*(Ciąg dalszy).*

12. Przejdziemy obecnie do ostatniej klasy wrażeń, która jednak wpływem swoim równoważy wszystkie inne, razem wzięte. Nie powiem, żeby ta dyktatura wrażeń wzrokowych nad innemi była owocem istotnej ich zasługi, przewyższającej zasługę wszystkich innych, ale to pewna, że dyktatura ta istnieje, i że nam z nią dobrze. Cały świat naszych wyobrażeń jest tak nawskróś opanowanym przez wrażenia wzrokowe, tak dalece przyjął ich charakter i postać, że dziś już nam ludziom dojrzałym niepodobna jest wyobrazić coś sobie inaczej, jak na tle wyobrażeń wzrokowych; zaledwie najbardziej oderwane sfery naszych najogólniejszych pojęć moralnych, takich jak dobro, prawda, sprawiedliwość i t. p. oswobodziły się z więzów wzrokowych; zresztą cały świat zjawisk materjalnych wyobrażamy sobie wzrokowo, i jeżeli kolor, wielkość, kształt, dają się wyobrazić bez żadnej pomocy innych wrażeń, to przeciwnie dotykając przedmiotu choćby po ciemku, zaraz go sobie wyobrażamy wzrokowo. Czując smak lub zapach, wyobrażam sobie wzrokowo przedmiot który go powoduje. Nawet słuchając melodji, mimowolnie rozkładamy ją w myśli przestrzennie, i wreszcie samą nazwę tonów *wysokich* i *niskich* pożyczamy ze skarbnicy wzroku!

A jednak — nie wzrok to nauczył nas tych wszystkich cudów, które pod swoje skrzydła podciąga. On sam był niemowlęciem wtedy, kiedy uczyli go tacy potężni nauczyciele, jak zmysł mięśniowy i dotykowy, on z ich nauk skorzystał, przyswoił je sobie i opanował. Pojęcia przestrzeni, ruchu, wielkości i kierunku, które zawdzięczamy zmysłowi mięśniowemu; pojęcie ciała fizycznego, stanu skupienia i ciepła, do których wytworzenia dotyk przyczynił się głównie; wszystkie te zdobycze niższych zmysłów wzrok zaanektował i przerobił tak, że wyobrażając sobie przestrzeń, nie możemy jej wyobrażać sobie bez koloru, wyobrażając ruch i jego kierunek, nie możemy się obejść bez linji i punktów, i do tego stopnia lekceważymy sobie pomoc pierwszych naszych nauczycieli, że nawet ciepło oceniamy przy pomocy oka na podziałce termometru, albo też wprost przez objawy ognia i czerwoności lub parowania, z jakiemi się łączy.

W cóżby się obróciły najpiękniejsze opowiadania podróży lub romansów, gdyby z nich wykluczono wrażenia i wyobrażenia wzrokowe — gdyby przy opisie piękności krajobrazu lub bohaterki powieści, ograniczono się wyłącznie do

wyobrażeń słuchu, smaku lub dotyku. Tymczasem same wyobrażenia wzrokowe są wstanie złożyć najpiękniejsze obrazy i najbardziej zajmujące opisy.

Wreszcie — wszak sam wyraz: *wyobrażenie* (czyli obraz) ma chrakter wzrokowy!

Nic więc dziwnego, że zapominamy o pierwotnych zasługach tak zwanych niższych zmysłów, a natomiast uwielbiamy zdobycze wzroku. Nie my zapewne będziemy lekceważyli sobie znaczenie jego dla umysłu — ale chcieliśmy też podnieść zapomniane a wcześniejsze trudy innych, pogardliwie najczęściej pomijane. Dziś kiedy tak zwana metoda *poglądowego* a właściwie *okazowego* nauczania zdobyła sobie przed innemi pierwszeństwo, nie od rzeczy będzie wspomnieć, że nie pokazywanie minerałów lub przyrządów fizycznych decyduje o dokładności ich poznania, lecz, że tylko badanie bezpośrednie przy pomocy innych zmysłów, może zapewnić dziecku korzyść istotną, nie zaś powierzchowną tylko, jakiej samo obejrzenie udziela. Dla tego to doświadczenia fizyczne lub chemiczne okazywane z odległości, raczej bawią tylko niż uczą, a każdy gruntowny pedagog starać sie winien przedewszystkiem o to, żeby dziecko *własnoręcznie* zajmowało się doświadczeniami, nie poprzestając na poglądzie jednego zmysłu.

Jeżeli teraz, oddawszy *suum cuique*, zechcemy dowiedzieć się, jakim sposobem doszliśmy do tej olbrzymiej przewagi wrażeń wzrokowych nad innemi, to musimy naprzód poznać w jaki sposób powstają one w ogóle i na czem polegają ich różnice.

Krajobraz o wschodzie lub zachodzie słońca, którego piękność w układzie barw i kształtów podziwiamy, dostarcza nam dwojakiego rodzaju bodźców wzrokowych: jedne płyną ze źródła światła bezpośrednio, czyli od przedmiotu świecącego a jak tu od słońca; drugie są tylko światłem odbitem, pożyczonem, bez którego jednak nie byłoby tych wszystkich tysiącznych kombinacyj wrażeń, jakie w krajobrazie spotykamy. Od sposobu odbijania światła, załamywania, pochłaniania, rozpraszania i rozkładania jego promieni zależy cała ta rozmaitość barw, świateł, cieni i kształtów. My jednak bezpośrednio tego wszystkiego ocenić nie możemy — dla nas istnieje tylko maleńki obraz na siatkówce naszego oka, maleńki obrazek nieco wklęsły, zaledwie widzialny — streszcza w sobie cały krajobraz kilku mil kwadratowych.

Widzieliśmy już, jak w zmyśle słuchu tysiące dźwięków i akordów ujmował nam, rozdzielał i łączył maleńki aparacik Corti'ego — zobaczmyż teraz, jak tego dopełnia organ wzroku, owego króla zmysłów.

Wiadomo, że przy pomocy soczewki, która odpowiada podwójnie wypukłemu szkłu ciemni optycznej (*Camera obscura*) odbija się w głębi oka obrazek tego na co patrzymy — obrazek odwrócony. Jakże daleko od tej plamki zabarwionej do tego co nazywamy wyobrażeniem, myślą, wspomnieniem, a przecież jedno z drugiego powstaje! Gdybym nie widział, nie mógłbym wspominać widoku. Otóż ten to obrazek pada na *siatkówkę*. Czemże jest ta siatkówka? Jestto delikatna błonka wyścielająca głąb oka, dlatego tak nazwana, że powstaje głównie z drobnych włókienek nerwowych, które splatają jakby siatkę. Włókienka zaś te pochodzą od głównego pnia nerwu wzrokowego, który idąc od mózgu przebija z tyłu zewnętrzną skorupę gałki ocznej i wchodzi do środka. Ujście to nie leży jednak na środku, czyli naprzeciwko źrenicy, lecz nieco z boku i ukośnie od strony nosa. W tem miejscu gdzie nerw wchodzi, wchodzą także naczynia krwionośne, które rozgałęziają się w całem oku. Gałązki nerwu rozchodzą się też promienisto, mianowicie po tylnej wewnętrznej stronie oka w ten jednak sposób, że właśnie w samym środku tej ściany wprost źrenicy zostawiają miejsca próżne okrążając je tylko do koła. Miejsce to siatkówki, ze względu na swe zabarwienie, zowie się *plamką żółtą* i jest najwrażliwszą częścią oka; — tymczasem ta część siatkówki w której jest ujście samego nerwu, jest prawie zupełnie nieczułą na światło.

Cała więc tajemnica wrażeń mieści się w plamce żółtej, którą też bliżej zbadać musimy. Nazywamy ją plamką, a jest to tymczasem najcudowniejszy aparat ze wszystkich, jakie natura wydała, jeszcze subtelniejszy i zawilszy od klawiatury Corti'ego w uchu.

Delikatne przecięcie poprzeczne siatkówki pod mikroskopem rozpatrywane, przedstawia różne warstwy, które możemy rozdzielić na dwa rodzaje: jedne z nich są wyłącznie nerwowe — drugie służą niejako za tkankę łączną, podtrzymującą tamte. Nas tu obchodzą tylko warstwy nerwowe, których rozróżniamy siedm.

Nerw wzrokowy wszedłszy do oka zagina się i rozgałęzia tysiącznemi odnogami w siatkówce, pomijając tylko jak widzieliśmy najważniejszą jej część t. j. plamkę żółtą. Pierwsze więc warstwy siatkówki, licząc od strony wewnętrznej, będą stanowiły owe rozgałęzienia włókien nerwowych; druga składa się z *komórek* i jakby zwojów nerwowych, których wyrostki przenikają poprzednią i następną warstwę; *trzecia* składa się z niesłychanie delikatnych włókienek poplątanych ze sobą; *czwarta* jest złożoną jakby z ziarnek połączonych włóknami; *piąta* jest tylko cieniuchną przegródką; *szósta* znowu większa jest podobną do czwartej, tylko jest delikatniejszą i na niej to spoczywa ostatnia *siódma* warstwa bezpośrednio z nią się łącząc: jestto najważniejsza warstwa nerwowa, złożona z *pałeczek* i *czopków*. Pałeczki są dłuższe lecz szczuplejsze i prawdopodobnie zawierają po jednej tylko nitce nerwowej — czopki zaś są krótsze, grubsze, stożkowate i zawierają znaczną liczbę włókien. Pierwsze służą tylko do rozpoznawania światła i cieniów, drugie zaś do rozróżniania barw szczegółowych. Czopki mieszczą się głównie w plamce żółtej — dalej są coraz mniej liczne w siatkówce, pałeczki przeciwnie mieszczą się poza plamką.

Tam zaś gdzie nerw optyczny wchodzi do oka, tworząc jakby białą plamkę, nie ma wcale ani pałeczek ani czopków, i dlatego też plamka nazwana przez Mariotta *ślepą*, nie jest wcale wrażliwą na światło. Że tak jest, można się przekonać następującem doświadczeniem.

Wyrysujmy sobie na papierze dwie figury, jednę większą np. koło czarne, drugą mniejszą w pewnej odległości na prawo, np. gwiazdkę. Jeżeli zamknąwszy lewe oko będziemy patrzyli prawem na koło, to przekonamy się, że przy różnych odległościach papieru od oka możemy jednak widzieć i krążek i gwiazdkę jednocześnie; posuwając jednak papier tam i napowrót znajdziemy jeden punkt w którym gwiazdka znika zupełnie. Będzie to właśnie to położenie papieru, przy którem promienie światła od gwiazdki idące padają wprost na nerw wzrokowy czyli na plamkę *ślepą*.

Od plamki żółtej, po bokach jej, liczba czopków wzrokowych zmniejsza się stopniowo, to też i niezależnie od plamki ślepej wrażliwość bocznych części siatkówki jest coraz mniejszą, i przedmioty ukośnie względem osi oka położone widzimy coraz mniej dokładnie. W skutek tego chcąc dobrze zobaczyć przedmiot, zwracamy oś oczną wprost ku niemu. Wtedy promienie światła padają wprost na plamkę żółtą, przechodzą przez przejrzyste warstwy siatkówki i działają pośrednio przez czopki na nerwy. Tylko takie pośrednie działanie może wywołać wrażenie światła. Sam zaś nerw wzrokowy bezpośrednio drażniony nie dałby nam żadnego pojęcia o kolorach i cieniach. Przecinając nerw wzrokowy powodujemy tylko chwilowe wrażenie błysku, po którem następuje już noc zupełna i wieczna. Najsilniejsze promienie światła na nerw padające nie obudzą już w nim żadnego wrażenia, *ponieważ nie ma już siatkówki, nie ma pałeczek* i *czopków wzrokowych*, któreby nauczyły nerw, co i jak ma do mózgu przenosić. I tu więc widzimy, że właściwym organem zmysłu są nie nerwy lecz przyrządy końcowe — które jednak o tyle tylko działać mogą, o ile są w połączeniu z mózgiem, tego zaś połączenia dopełnia nerw. Że zaś tutaj ostatecznym anatomicznym warunkiem powstania wrażenia, jest pewna część mózgu (dla wrażeń wzrokowych *wzgórki czworacze*) dowodzi tego ten fakt, że mózg sam czyli owe wzgórki, mogą wytworzyć złudzenie wrażenia wzrokowego np. w halucynacjach osób ze zniszczonym nerwem. Podczas gdy samo oko albo sam nerw o ile są odcięte od mózgu żadnego bezwzględnie wrażenia wytworzyć nie mogą.

(C. d. n.)

---

# Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

*(Ciąg dalszy.)*

*Malakal w Grudniu 1872 r.*

Opisałem wam w przeszłym liście jeden dzionek z 365 dni jednego roku. Niepodległy nikomu, rozporządzam sam mym czasem i zapełniam go, ba, często mi za krótkim się wydaje. Czasem chciałbym jak Jozue wrzasnąć: „Słońce stań w dolinie Malakalu!“ bo moje polipy jeszcze nie spreparowane, a do jutra się popsują. Lecz słońce nie słucha, a gdy tonie w pienisku zachodniego ryfu—ja pnę się na szczyt najwyższej góry w Malakal i samotny patrzę nie raz na konające światło. Gdzie ono teraz wam świeci... O niech wam świeci, niech wam ogrzeje życie, uczyni je jasnem i wesołem!

Ja tedy myślę o was, chciałbym na chwilę być słońcem, przebiedz dzielącą nas przestrzeń, zobaczyć kraj mój rodzony, ucieszyć się z braćmi i znów wrócić i marzyć na nagim szczycie Malakalu.

Otoczony marami przeszłości schodzę w dolinę, ale już nie sam, srebrny księżyc, od was posłany do mnie, jedną stroną oblicza żegna się z wami jeszcze, a drugą już do mnie się uśmiecha. Z nim mi weselej znów, zda mi się że wy jesteście przy mnie i że chórem śpiewamy:

Głupstwo nudna Europa
Z blagą, fałszem i kłopoty,
Od bogacza aż do chłopa
Dręczy wszystkich cielec złoty.

W ślad za chęcią zysku dążą —
Śliskie prawa i niecnoty,
Ciało, ducha w krępy wiążą
W pełne nędzy i brzydoty.

Tutaj my dzieci przyrody,
Bez grosza w pustej kalecie.
Pędzim w przygodę z przygody,
Jak wolny zefir po świecie.

Nic nam nie krzyżuje planów,
Nic nie boli, nie przestrasza,
Piosnką nam ryk Oceanów,
Szum palm koron, piosnka ptasza.

Wszystko wznosi i ogrzewa,
Przyroda tu kochać zmusza,
Ona spokój w duszę wlewa —
Bo naturą jest tu dusza.

Choć nie znamy więc kubanów,
Ni błyszczy puhar złocisty,
Wznosim toast: z wszystkich stanów —
Szczęsny stan naturalisty!

Ale otrzeźwijmy się. Chcecież więc listów, macie, czytajcie, gryźcie i trawcie, a twardy to orzech jak skała, bo o skałach was dzisiaj nu dzić będę.

Gdy nie jestem zajęty na ryfie, ani w borze, udaję się w łodzi w labirynt ulic i zatok utworzony przez łańcuchy skał osadniczych. Po angielsku zwą się one „stony rocks“ po tutejszemu „kocheal.“

Skały te powstały z opadów morskich i skorup wielu korali i muszli. Są to białe, żółtawe niekrystaliczne masy—z żyłami krystalicznych wapieni, warstwami glinki i licznemi skamieniałościami. Zewnętrzne ich stoki są pionowo spadziste, szczyty czyli krawędzie łańcuchów bogatą pokryte roślinnością.

Ściany tych skał często przez wodę wyżarte, wyżłobione, tworzą sklepiaste jamy, w których krajowcy się kryją zaskoczeni burzą. Podstawa jest rozszerzona bardzo. a miejscami skały te tworzą wieńce, w środku których powstały laguny niekiedy bardzo głębokie, dołem łączące się z Oceanem. Skały te są pomnikami walk żywiołów przy kształtowaniu się powierzchni ziemi.

Pokłady opadłe z osadów morskich, stanowiły grubą warstwę, która następnie została wyniesioną, wydętą i rozdartą, by dać przejście roztopionym plutonicznym masom. Powstała wysepka Malakal, otoczona skał wieńcem - wysepka Arekobasanga, Koryor i Baubelthonap, znajdujące odpowiednie sobie, usunięte osadowe skały.

Szczególniej wyraźnie widzimy to wystąpienie na zewnątrz wewnętrznej masy przy wyspie Malakal, mojej rezydencji. Twarda powłoka, albo może jeszcze giętka do pewnego stopnia, musiała się odśrodkowo rozszerzyć — najwewnętrzniejsze części rozdarły się i powstała inna wyspa — środkowa, otoczona wieńcem pod wodą ukrytych części rozłamanych skał. Tym sposobem utworzyły się stoki wyniesienia wysp Pelawskich, będące podwaliną dla ryfów koralowych. Sąsiednie tak samo utworzone passaże są to wyspy Arekobasanga i Koryor, takież same jak Malakal, która jest największą, bo przeszło 8 mil naszych długa. Gdy części te z gruba ociosane, wyniosły się nad wodę, wówczas natura dokończyła i dalej kończy ich formę.

Wpływy morza, powietrza i słońca, kruszyły, wietrzyły i regulowały formy zewnętrzne. Budowy koralów wzmocniły ustępujące przed naciskiem bałwanów lądy—zwolniły siłę Oceanu, wypełniły płaskie miejsca, dając podwalinę dla przyszłych napływowych lądów.

Skruszona górna warstwa skały spylona, zamieniła się w urodzajną choć cienką warstwę gliny, która dziś lasy dźwiga. Nagie skały pokryły się naprzód warstwą porostów, których generacje zginęły, by dać warstwę żywiącą; mchy, te ustąpiły paprociom. Warstwa coraz silniejsza, więcej przyciągała wilgoć atmosfery, zabezpieczyła szczyty od słońca, pod nią gniły warstwy liści i wytworzył się w szparach czarnoziem żywiący dzisiaj stustopowe palmy i potężne dwuliściowe drzewa.

Również zajmującem jest śledzenie natury w jej szczegółowych pojedynczych akcjach. Naprzykład: rozłamana warstwa osadowa była pewnie z początku płaska, nad poziom dna stercząca, podzielona szczelinami na okrągło-wypukłe a gładkie pagórki. Te ostatnie przez działanie wody morskiej i silnych jej prądów zostały powyżerane, poświdrowane, przedzielone większemi już szczelinami, i silnie chropowatej i nieregularnej powierzchni, te znów siłą wewnętrzną wyrzucone nad wodę, przekształciły się w stożkowe piramidy z ostremi szczytami i zębatą a szczerbatą powierzchnią o podstawie rozszerzonej, której brzegi woda podmywając pokruszyła, tworząc u spodu głębokie wyżłobienia, aż w końcu podpłukane krawędzie pod własnym ciężarem zapadły się i powstała dzisiejsza forma. Dodać jeszcze należy, że skały te osadowe, są wiecznie przemywane, woda z góry przesiąka i przenika je na wskróś, tworząc nacieki po bokach i na sklepieniach szpar i wyżłobień. Znajduje się wiele jam, niby grot, kilka bardzo wielkich pod wodą ukrytych, tylko górny łuk wejścia widzialny. Są one bardzo głębokie. Wskazuje to, że osady te były poprzerzynane żyłami krzemionki i innych rozpuszczalnych w wodzie morskiej minerałów, które dziś tworzą materjał naciekowy. Skały te są dzisiaj zwietrzałemi skieletami, pełnemi dziur, jam, szpar, rurowato je przewiercającemi.

W niektórych miejscach znajdują się ze wszystkich stron zamknięte laguny, jeziora morskiej wody, dzielące przypływ i odpływ, mające nawet ryby. W jednem tylko miejscu, wśród osadowych łomów, występuje mały kawałek plutonicznych brył, takich jak w Malakal. Jest to injekcją z wnętrza, przez szpary na zewnątrz. Ten mały kawałek, ledwie może 100 kroków w kwadrat, pokrył się trawą i wegetacją taką, jaka znamionuje Malakal i inne wyniesione wyspy, bo inne, osadzone skały mają zupełnie sobie tylko właściwą florę.

Owe osadowe skały dosięgają w niektórych miejscach do 1000 stóp wysokości. Niektóre z jam, są głębokie pod wodą do 20 sążni i po nad nią jeszcze z 50 stóp. Sklepienia tych grot pokryte są olbrzymiemi soplami (stalaktytami). W niektórych miejscach górny sopel ma na dnie odpowiedni sobie naciek (stalagmity), ale gdy budujący materjał już wyczerpany, gdy woda już nie zawiera w sobie rozpuszczonego minerału, więc dolny naciek nie rośnie, ale się wydrążą w kształt kielicha.

Otwory niektórych grot znajdują się na wysokości kilkudziesięciu stóp i można przez nie łódką wpłynąć do wnętrza. W wielu z nich znajdują się stosy kości ludzkich, ale są to kości ludzi nie przedpotopowych, lecz tych, którzy w dawniejszych czasach z powodu wojen, schronili się w tych jamach, i przez oblegających Koryorczyków, zostali głodem zamorzeni. Tak mówi podanie „Rgodal“ tj. bardzo dawne podanie, dziś nikt tego nie pamięta. Ślady kości znalazłem również na wielu innych, dziś już nie zamieszkałych wyspach, w ogóle wojny przeszłe wytępiły tutejszą ludność. (C. d. n.)

# Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił
Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

Zwolnienie obyczajów, które nastąpiło po niewoli i faryzeuszowstwie patrjarhalnego bytu, dało kobiecie swobodę i możność iść za popędami swego serca, chociaż swoboda ta objawiła się z początku w zwierzęcej rozpuście. Niezależność kobiecych charakterów zaczęła się wytwarzać. Prawo, jak widzieliśmy, pozwalało kobiecie rozporządzać majątkiem według swego uznania, nie pytając o zgodę mężów. Taka niezależność majątkowa przy zmiękczeniu charakterów była przyczyną, że coraz częściej zawierały się takie małżeństwa, gdzie głową domu był nie mąż lecz żona. Carycе często dawały w podarunku otaczającym je przyjaciółkom ziemie i włościan. Rola właścicielki rozwijała charakter kobiety. Zarząd majątkiem, gospodarskie roboty, handel i przemysł wytworzyły takie kobiece natury, które w niczem nie ustępowały męzkim. Były kobiety, które zajmowały się handlem na szeroką skalę, przyjmowały udział w polowaniach i nieraz z oszczepem w ręku chodziły na niedźwiedzia. Hrabina Błudowa opowiada w swoich zapiskach, że babka jej utworzywszy straż włościańską przy pomocy dwóch armatek w takim strachu trzymała rozbójników, którzy pustoszyli okolice Wołgi, że oni długo nie odważali się napadać na jej majątek, a gdy się odważyli nareszcie, to przytomnością umysłu i męstwem obroniła i dwór i wieś swoją. Nieraz widziano wtedy kobiety pełniące obowiązki furmanów i ekonomów, przedsiębiorców i t. d. Podobne kobiety przyjmowały udział w publicznem życiu, pod imieniem swych mężów lub kochanków, rządziły miastami, gubernjami, niekiedy całem krajem, komenderowały pułkami; zdarzało się nawet, że gdy mężowie wyjechali, żony wkładały ich mundury i dowodziły wojskami. Bywało nareszcie i to, że kobiety rządziły dyecezją. W pałacowych intrygach i spiskach, które tam były częste w 18 wieku, kobiety przyjmowały bardzo czynny udział. Piotr nieraz powtarzał, że córka jego Anna, była by najlepszą następczynią jego tronu. Przy Katarzynie II księżna Daszkowa była mianowana prezydentem Akademji nauk i potrzeba oddać jej sprawiedliwość, że lepiej kierowała tą instytucją jak wielu z mężczyzn. Od czasów Katarzyny II kobiecie dozwolonem było zajmować miejsca profesorek w szkołach dla dziewcząt, guwernantek i nauczycielek. Cztery panowania kobiet w Moskwie osłabiły ideę niższości kobiety już przez sam fakt, że losy całego państwa spoczywały w rękach kobiety. Tak w prywatnem, jak i w publicznem życiu wiele kobiet zajmowało posady zupełnie jednakowe z mężczyznami, a temu równouprawnieniu odpowiadała w zupełności ówczesna moda, iż kobiety nosiły ubior męzki; modę tę przyjęły nietylko caryce, ale i zwykłe śmiertelniczki.

Jednak pomimo korzystnych warunków dla rozwoju kobiety, znaczenie jej nie mogło podnieść się do tej wysokości, na jakiej znajdowało się ono w zachodniej Europie z powodu bardzo małego umysłowego rozwoju i braku wykształcenia. Oprócz Katarzyny II i Daszkowej w 18 wieku nie było ani jednej wykształconej kobiety. Katarzyna I nie umiała ani czytać ani pisać; Anna była ograniczona i zabobonna niezmiernie; Elżbieta nie

wiedziała, że Anglja jest wyspą. Była ona przekonaną, że mąż ma prawo bić swoją żonę a gdy Safonów, mąż jej bratanki, wybił żonę swoją, kazała go ukarać aresztem kilkudniowym w domu, tylko na tej podstawie, że nikt nie ma prawa bić krewnę carycy. Do Katarzyny II kobiety wyższych sfer nie miały najmniejszego pojęcia o umysłowych roskoszach i życie ich było napełnione fatałaszkami. „Na co uczyć kobietę, mówiła Katarzyna I, im mniej kobieta umie tem mniej łże.“ Caryca Anna zachowała nawet ubior bojaryni XVI wieku. Całemi godzinami siedziała w fotelu słuchając płaskich konceptów przydwornych błaznów i bawiąc się ich wykrzywianiem. Gdy to znudziło, wołała przydworne damy i mówiła: „Spiewajcie dziewki.“ Frejliny stawały w kółko i spiewały, dopóki Anna nie zaczęła ziewać. Wtedy wchodzili gwardyjscy żołnierze z żonami i tańczyli narodowy taniec. Dzierżawin powiada, że zawsze gdy Anna była na mszy, w cerkwi pałacowej, błazny jej siadali na oknach w pokojach, przez które miała wracać do pałacu i gdakali jak kury na jajach. Niekiedy caryca kazała im stanąć jeden za drugim twarzą do ściany i popychać się z całej siły; błazny zapalali się, zaczynali bić jeden drugiego, ciągnąć za włosy, drapać do krwi, a dwór cały umierał ze śmiechu. Życie Elżbiety nie wiele było lepszem od życia Anny. Najwięcej lubiła opowiadania staruszek i przekupek, których naumyślnie sprowadzono dla niej z rynków. W czasie opowiadań różnych bajek, jedna z przydwornych dam łaskotała carycy podeszwy dopóki ta nie zasnęła. Ta samoradność patrjarchalnego życia dochodziła do tego, że Katarzyna I brała łapowe od tych, którzy prosili ją o wstawienie się u cara i zebrane w ten sposób znaczne sumy odsyłała do hamburskiego i amsterdamskiego banku. Najwykształceńsze ówczesne kobiety tak mało umiały, że żadna z nich nie mogła napisać jednego wiersza bez dziesięciu omyłek. O masie kobiet wyższego i średniego stanu nie ma co i mówić. Nawet w początku teraźniejszego wieku, opowiada Dmitrjew, o jednem mieście: „Było tu wiele szlachty i szlachcianek, a w całem mieście jeden tylko umiejący pisać, lokaj Fedka, który za wszystkich pisał listy do mężów i krewnych, gdy oni byli w podróży.“ O właściwem wychowaniu nie miano pojęcia, bo nawet słowo to miało inne znaczenie. Jedna z panien mówiła: „My u ojca dobrze wychowane, bo samego miodu u nas tyle, że zjeść niepodobna.“ Zdanie, że nie ma potrzeby umieć geografji, gdyż obowiązkiem furmana jest wieść dokąd każą, było rozpowszechnione wśród ówczesnej szlachty, która uważała, że ma przywilej niczego się nie uczyć.

Niewykształcona, ciemna kobieta w roli właścicielki, przełożonej klasztoru i gubernatorowej, nie ustępując z energji i rzutkości mężczyźnie, nie ustępowała mu też i w zepsuciu. Ona biła, grabiła, brała łapowe, stawała się straszną tyranką w rodzaju znakomitej Saltynowej, która w 1856 roku zasiekła na śmierć 139 kobiet i dzieci za nieczyste według jej zdanie mycie bielizny i podłóg.

Księżna Galicyn była straszną w całej okolicy i nieszczęśliwym był ten, kto wzbudził w niej gniew. Raz we własnym domu przy gościach porwała za włosy jednę ze swoich przyjaciółek, która przyjechała ją odwidzić i wyrwała garść całą; drugi raz za niepoprawienie drogi, księżna kazała śród pola przy sobie położyć policyjnego urzędnika, który jej asystował i obić batogami. Dla wielu kobiet karanie cielesne swoich ludzi było jednem z przyjemnych sposobów przepędzania czasu. Do tej Galicyny przyjechała jakaś znajoma. „Ach! jak rada jestem—zawołała księżna — żeś przyjechała; nudziłam się okropnie i z nudu chciałam kazać osiec rózgami moje sługi.“ Daniłow w pamiętnikach wspomina o swojej ciotce, u której mieszkał, że ta wdowa bardzo lubiła barszcz, lecz przyznaje się, że w ciągu czasu, w którym u niej był „ani razu nie zdaje się, żeby przeszedł dzień bez obicia kogokolwiek; jak tylko ciotka zaczynała jeść swój ulubiony barszcz, wciągali z kuchni kucharkę, która gotowała objad, i położywszy na ziemi bili ją batogami niemiłosiernie, a bili dopóty, póki wdowa jeść nie przestawała; było to wprowadzone w zwyczaj dla lepszego apetytu.“ Lecz nie jedne tylko właścicielki „dusz“, zachowały się w podobny sposób ze swemi nieszczęśliwemi sługami. Przy Annie, która raz kazała powiesić przed swemi oknami kucharza za to, że usmażył naleśniki na zgorzkniałem maśle, okrucieństwa dokonywane na ludziach dla zabawy carycy dochodziły do ostatecznych granic. Despotyzm ciemnych pań niekiedy dotykał własnych ich dzieci. W 1849 roku, niejaka Razłajewa sprzedała w niewolę własną córkę, za to, że ta odkryła przed ojcem złe zachowanie się matki z jakimś mężczyzną. Leontjowa, wdowa po kapitanie gwardji, była sądzoną w 1851 r. za nieludzkie obchodzenie się z synem, którego biła, siekła, wiązała i związanego trzymała w zimnej piwnicy, karmiąc tylko skórkami chleba namoczonemi w pomyjach, bo chciała pozbyć się dziecka, mając nadzieję łatwiej wyjść powtórnie za mąż. Miłośne intrygi, plotki i kłótnie napełniały życie ówczesnych pań, tracących ze straszną rozrzutnością pieniądze, które zdobywali ich mężowie za pomocą łapówek, okradania skarbu i obdzierania włościan.

Domowe wychowanie za pomocą guwernantek ograniczało się na czytaniu, paplaniu po francusku, znajomości swoich zwyczajów, muzyce, poczem brała się do łowu męża. Z dziewczęcia przygotowali narzeczoną — a więcej nic. Wszystkie jej myśli, marzenia, dążności, modlitwy były skierowane do celu, aby wyjść za mąż, a za tem ona o niczem nie myśliła, niczego nie pragnęła i na każdego nieżonatego mężczyznę patrzała nie jak na człowieka, lecz jak na narzeczonego.

(C. d. n.)

---

# STUDJA ESTETYCZNE

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

*(Ciąg dalszy).*

Typ boga raz stworzony przez wyobraźnię starożytnego rzeźbiarza, trwał przez całe pogaństwo. Późniejsi nie czując się na siłach przewyższyć stworzone już arcydzieło, kopjowali je odtąd na różne formaty i z różnego materjału.

Obok nowych utworów odpowiadających w całości zmiennemu gustowi epoki, powstawały mnogie kopje, w których wedle mody także pewne szczegóły zmieniano, ale w których rysy i postawa posągów już niezmiennemi zostawały. Sławne dzieła Fidjasza stały się od razu takiemi ideałami artystycznemi. Namnożyła się po Helladzie moc miniaturowych kopij owych kolosów. Później i w Rzymie, prócz przeniesionych z za morza, odtwarzano także nowe wyobrażenia owych arcydzieł. Owe to kopje znajdują się i dziś dość rojnie po nowożytnych muzeach. Niektóre z nich są pozbawione prawie wartości artystycznej, inne mniej więcej doskonałe. Większa ich liczba świadczy pewnemi zmianami w pojęciu ideału, albo w manierze artysty o powstaniu swojem w czasach różnych już smakiem od epoki Fidjaszowej. Kilka bardzo wyjątkowych i bardzo sławnych okazów i pomysłem całym i mistrzowskiem wykonaniem na podziw największy zasługuje. O tych będzie tu mowa.

Głowa tak zwanego Jowisza z Ortikoli w Watykanie przedstawia grecki ideał męzkiej piękności. Porost obfity kędzierzawych włosów wąsów i brody, porost przechodzący o wiele zwyczajną miarę, przypomina grzywę lwa najpotężniejszego ze zwierząt. Czoło potężne lecz raczej niskie niż wysokie, na którem wiele wypukłości, świadczy o myśli.

Afrodite Elejska Fidjasza było na pół nagą. Mięka draperja tylko dolną część doskonałego niewieściego ciała zakrywała. Ramiona jej, jak zawsze, obnażone i rzucone naprzód, dźwigały tarczę zdjętą z boku mężobójcy Aresa, a służącą bogini za zwierciadło. Stopa lewa spoczywała na hełmie pokonanego miłością boga wojny. Wzrok cieszył się widokiem własnych wdzięków odbitych w tarczy zwierciedle. Szyja była z lekka zgięta, usta drgały, jakby dumą bogom wrodzoną.

Posiadamy dwa arcypiękne wizerunki Fidjaszowej bogini. Wenerę Kapuańską w muzeum Neapolitańskim i Wenerę z Milo w Luwrze. Bogini miłości nie ma wieku u Fidjasza. Jest to istota nieśmiertelna co dzieciństwa nie znała a zawsze w pełni niewieścich wdzięków jaśnieje. Tylko dolne części zakryte draperją, a większa część niewieściego ciała pełnią obnażonych linji widza zachwyca. Ani hełmu, ani korony, ani zasłony nie ma na głowie, której jedyną ozdobą gładko zaczesany włos niewieści. A tryumf znać i we wzroku i w postawie! Snać wdzięk niewieści nie potrzebuje żadnych przyborów, by zwycięztwo odnieść. Bogini wszechmocą nagiej piękności zwyciężyła. W jej tryumfie nie znać ani zmęczenia, ani wesela. Snać o tem przynależnem sobie zwycięstwie i chwili nie wątpiła.

Przechodząc napowrót do dzieł Polikteta, pomówimy o znakomitych kopjach popiersia Argiwskiej Hery. Popiersie kolosalne i samemi już rozmiarami, oryginał przypominające, znajduje się w pałacu Ludwisi w Rzymie. Inne popiersie nie mniej doskonałe choć mniejsze i niestety uszkodzone, stanowi jednę z ozdób galerji dei Uffici we Florencji. Oba całem swem wykonaniem, jenjalnego wskazują twórcę, i bodaj czy nie samego Polikteta.

Popiersia te przedstawiają znany już niewieści ideał Grecki. Spoczywa na nich wdzięk niewymownego majestatu. Czoło szerokie i odkryte świadczy o potędze boskiego umu, ale nie znać na nim najmniejszego wytężenia myśli, i nie znać na niem owej potężnej Jowiszowej muskulatury czaszy, tylko mężom przystojnej. Wzrok szuka ludzi, a usta tak wygięte, jakby niemi gardziły. Szyja z lekka zgięta świadczy o tem, że pani tak można nie myśli o swojej postawie. Jeśli jest majestatyczną, to tylko dlatego, że jest nią od urodzenia. Dijadem przypomina, że to królowa, a całe wrażenie zyskuje na tem, że mądrość ową, rozum i potęgę oglądamy tam, gdzie nie zwykły przybywać, bo na obliczu mło-

dej wiecznie i idealnie pięknej kobiety, którejby można i kokieterją i namiętność przebaczyć.

Sztuka Fidjaszowa to Dorycyzm rzeźbiarstwa. I tu rzecz ma swój początek w rozumowej stronie poczucia estetycznego, i tu zadowalnia najpierw widokiem umiejętnego naśladowania wyższego już o wiele organizmu, a potem w wyższem stopniu przedstawieniem abstrakcyjnego ideału. Idealizm kolumn bardziej absolutny, i z tąd same ich olbrzymie rozmiary, i sam widok w samej rzeczy fizycznej tylko siły wystarcza do obudzenia poczucia grozy. U tak zupełnie abstrakcyjnych istot, bierzemy fizyczną siłę i trwałość za moc duchowną i wieczność.

W rzeźbie Fidjaszowej, abstrakcja stała się już mniej potężną; bo gdy kolumna jakby tylko „istotę“ przed oczy widza wyprowadzała, posąg przedstawiał „człowieka“, i to nawet „męża“ albo „niewiastę.“ Sama tedy fizyczna wielkość posągów, nie mogła uczucia pięknej grozy wzbudzić, a ówczesnej sztuce greckiej głównie o wzbudzenie tego uczucia chodziło.

Rzeźbiarstwo Fidjaszowe usiłowało tedy posągom wyraz moralnej idealności nadać, a mówiliśmy już, że duch idealny nie ulegał ani warunkom czasu, ani słabości i bezsilności przywiązanej do jednostki; na to tedy by idealność ducha za pomocą posągu wyobrazić, stworzono postacie nie mające wieku, i nie znające ni zadumy ni troski, bo wiek czasu, troska i zaduma są znamionami niemocy.

I skutek został osiągniętym. Posągi Fidjaszowe rażą grozą nie mniejszą od grozy Partenonu. Rozumowy ideał ludzkiej istoty poprzed oczy widza wyprowadzony, przeraża człowieka niezmierną duchowną wyższością, malującą się na słonecznej twarzy, a jednak cieszy podwójnie: raz czyniąc zadość dążeniom rozumu lubującego się w ogóle i w idei, a drugi raz budząc rodzaj współczucia. Wpatrując się długo w bogi owe spokojne, czujemy ze wzrastającym przestrachem, że my nikczemni zaczynamy ich nieskalaną piersią oddychać.

Późniejszej, po Fidjaszowej sztuce Praksitelesa i Skopasa chodziło już przedewszystkiem o to, by tę ostatnią składową część uczucia pięknej grozy spotęgować; chodziło jej o to, by ludzi śmiertelnych jak najzupełniej z idealnemi istotami złączyć i zbratać, a na to by ten nowy cel osiągnąć, poświęciła sztuka owa przestrach wszechmocy, którym posągi Fidjaszowe raziły. Na to by człowieka do posągu zbliżyć, należało się koniecznie odstąpić od zupełnego idealizmu. Współczucie z istotą wszechmocną, dla której ludzkie uczucia nie istnieją, nie może być tak silnem, jak współczucie, jak łączność z piękną zawsze i względnie idealną, ale już zupełnie ludzką istotą znającą namiętność i prawo czasu. Całej przeto sztuce późniejszej nie chodzi już tylko o czysty ideał, ale przedewszystkiem o kształty budzące w duszy ludzkiej współczucie.

Afrodite zeszła z niedostępnej Olimpijskiej wyżyny. Nie w wieczności żyje, i nie pozbawiona wieku, jeno liczy lat ośmnaście. Ciało jej piękne ale wątłe jeszcze, twarz dziecięcia prawie. Na takiej twarzy zwykliśmy rumieńce widzić. I pewno wystąpiły teraz na twarz nieśmiertelnej, bo stoi naga przed nami i rękami pierś i bezimienne części zasłania. Wyszła zda się z kąpieli i jedną nogę jakby do chodu podniosła, a ogląda się by widzieć czy kto też nie nadchodzi. Z takiej dziewczyny musi kiedyś wyrość bogini podobna do Fidjaszowych; ale to teraz wątlejsze trochę, to miękie, pulchne, pełne życia i świeżości. Usta jeszcze wzgardą nie zdjęte, bo się w tym wieku jeszcze nie gardzi. Oko szuka ludzi, a nie patrzy na nich wyrazem wszechwiedzy. Bogini zda się ludziom oczyma mówić: „Chodźcie do mnie, bo piękną jestem!“ A ruchem rąk mówi: „Jestem wstydliwą, kryję się przed wami.“ Jest to nierozwinięty jeszcze kwiat bóstwa. Jest to wszechmoc co się rumieni i co opieki potrzebuje. A człowiek patrząc czuje się potrzebnym dla doskonałości, pojmie jak boginie mogły kochać śmiertelnych, i podziwiając, w własnych oczach urośnie, bo powita w sobie nie podobiznę tylko, jeno brata doskonałych bogów.

Kto dziś w Kapitolu na Praksitelesową Wenerę patrzy, ten pewno wdziękowi młodości ulegnie. Same dłuto wdzięku przysparza. Fidjasz potężne swe bogi wielkiemi rzeźbił płaszczyznami, w samymże układzie wielkich mięśni, cuda życia naśladując. Praksiteles najdrobniejsze wykończył szczególiki. Marmur faluje tętnem żył i pulsów, a tętno owo tak drobne, że jeszcze uroku dodaje; bośmy już przy budownictwie mówili, że zdrobniała doskonałość wdzięku i uroku źródłem.

Owe poszukiwanie wdzięku i uroku właściwego drobnym, pięknym, a starannie wyrzeźbionym szczegółom, możemy lepiej jeszcze w Atenach śledzić na licznych stelach pod wpływem Praksitelesa powstałych. Widujemy najczęściej na nich niewieście postacie przyobleczone od stóp do głów w wiotkie powiewne szaty, o drobniutko i szczegółowo wykonanych fałdach i fałdzikach. Fałdy owe misternie do ciała przylegają, i nie zakrywają bynajmniej dziwnie żywotnego falowania piersi. Ramiona i szyja, jak zawsze u Greków, bywają obnażone, a na nich gra tłum drobnych a ślicznych i miękich, a ledwo dojrzanych muskułków. Włosy drobnemi loczkami okrywają główkę. Na twarzyczkach rysy zawsze greckie, ale dalekie od Fidjaszowej grozy. Nozdrza i usta kształtne zmalały, uśmiech, ale uśmiech żywy stroi lice (C. d. n.)

---

# SREBRNY DZWON

*Legenda nadreńska*

przez

IZĘ.

*(Dokończenie).*

II.

Już cztery słońca spłynęły po niebie,
Cztery jutrzenki rozświetliły chmury;
Po raz też czwarty siejąc blask przed siebie
Koło miesięczne wschodzi po za góry,
Tka rdzawą kratę w srebrny strój godowy,
Śle w głąb niepewne i drżące promienie,
I jakby stwierdzić chcąc więźnia okowy,
Sennego w srebrne ujmuje pierścienie.

Nareszcie piąte zabłysło już zorze.
Wstaje dzień grozy... dzień zbrodni... dzień kary!
Z pierwszem świtaniem tyran rzuca łoże,
I wieść się każe do swojej ofiary.
Tam, w twarz starcowi ciska urąganie:
— „Cóż? Jak tam mnichu? Dobrze ci się spało?
Może się raczysz przejść nieco w zaranie,
Nim słońce rosę powypija białą?“

I skinął ręką. Już siepaczów grono
Chwyciło starca... z nóg mu zdjęto pęta.
Powróz na szyję — już go powleczono...
Jęk zabrzmiał tylko: „O Maryjo święta!“

Wilheld za nimi tuż podąża blisko,
W licznym orszaku panów i rycerzy;
A dworska gawiedź, jak na widowisko
Kupi się gwarnie i w ich ślady bieży.

Ranek był piękny, choć trochę zamglony;
Białe tumany wciąż mknęły do koła,
A nocne rosy, jak iskrzące szrony
Osiadły kwiaty, i krzewy i zioła.
Nad brzegiem Renu skał chropawe szczyty,
Oślizłe rosą, strojne mchy siwemi,
Zdały się niby wspinać, rwać w błękity,
Chłodnych mgieł chmurą oddarte od ziemi.

Urwistym brzegiem prowadziła droga,
Kędy spieszyli katy i widzowie.
Tam gdzie się Renu w ląd wrzyna odnoga,
Sterczy zrąb skały, co się Czarną zowie.
Ku niej przeora po kamiennym zwirze
Ciągną siepacze, bo tak pan chce mściwy...
Po nad nią kołem mkną jaskółki chyże,
I chór zawodzą jakiś żałobliwy.

U stóp jej, paszczą swą czarną odsłania
Studnia, co sucha stoi już od wieka;
Święte lud o niej rozgłaszał podania,
I ze czcią każdy mijał ją zdaleka.
Wiliheld słyszał to wszystko przed laty,
Lecz znieważając urok podań gminu,
To co ten ubrał w złote baśni kwiaty
Robił narzędziem ohydnego czynu.

Wstrzymał się orszak nad studni otworem.
Kat zimnym okiem czarną głębię mierzy,
Obok siepacze stanęli z przeorem,
Za nimi niosą ów srebrny dzwon z wieży.
Słońce rozbłysło w jasnej stronie świtu,
Krzyż ozłociło na białym klasztorze,
Gdy dojdzie ono do niebios zenitu,
Ty go nie będziesz oglądał przeorze!

Zerwał się orzeł z niedalekiej skały,
Ostro zakrakał, zaszeleściał pióry,
Snać po żar leci dla dziatwy zgłodniałej,
Uderzył skrzydłem i wzbił się do góry.
Lot swój skierował na brzeg Renu drugi,
I wkrótce oczom gdzieś zniknął w przestworze;
Orzeł z dobyczą wróci w czas nie długi
Lecz ty nie będziesz widział go przeorze!

Cisza zaległa śród widzów gromady,
Zda się wstrzymują oddech w natężeniu;
A on w pośrodku, nie zlękły choć blady,
Z łagodnym ogniem tlejącym w wejrzeniu.
Włos mu się srebrem rozsypał po skroni,
Śnieżysta broda ni to Renu piana;
A wzrok natchniony błękitami goni,
Jakby wyprzedzić chciał duszę do Pana.

Cała natura zda się życie tłumi,
By nie zamącić uroczystej cisze...
Tylko Ren głucho po zaporach szumi.
I liść się winny niegdzie zakołysze,
Jak pożegnalny upominek w drogę.
Ziemia mu z wiatrem szle dziewicze wonie,
A polne kwiaty, na bosą mu nogę
Płacząc łzy rosy, pochyliły skronie.

Już z dzwonu serce wyjęto spiżowe,
Bo się go Wilheld i pod ziemią lęka;
Pilno mu skończyć... wszak wszystko gotowe...
Starca wnet ima świętokradzcza ręka.
— „Strącić go z dzwonem!“ Wiliheld zawoła...
Już oczom widzów znikła postać święta.
Jakby ją wiater gdzieś zdmuchnął z ich koła,
I tylko trawa po nad studnią zmięta...

A czarna zbrodnia tak się stała nagle,
Że wszyscy w koło spojrzeli do góry,
Jakby niepewni, czy w obłoczne żagle,
Serafów jasne nie skryły go chóry.
W tem mnisza rzesza, tam po drugiej stronie,
Stanęła kołem i kolana zgina,
Skłonia chorągwie, i w niebo powionie:
„Módl się za nami, o Salve Regina!“

Bracia samotne porzucili cele,
Klasztorne wrota opuszczają tłumno;
Idą przy innym gdzieś osiąść kościele,
Idą boleśni, jak gdyby za trumną.
Przeto przeora chcą żegnać na wieki,
I chcą świadkami być jego męczeństwa,
By jako puklerz unieść w świat daleki,
Jego ostatni wzrok błogosławieństwa!

Przyszli zapóźno... spiew tamują łkania,
Gorąca modła z duszy się wydziera;
Rycerz nie jeden łzę politowania
Z powiek żelazną prawicą ociera.
Tylko Wiliheld z radością szatańską
Przygotowanej chwyta grudkę ziemi
I ciska na dół: — „Twą godność kapłańską
Tem ja wywyższam, wieńczę nad innemi!"

To rzeklsny, wzrokiem potoczył w około,
Dawniej wydane rozkazy powtórzył;
I odszedł, dumne tak podnosząc czoło,
Jakby przynajmniej pół świata dziś zburzył.
Za nim tłum cały rozpływa się gwarnie,
Tylko służalcy podług pana woli,
Aby przedłużyć konania męczarnie
Ziemię w głąb' sypią, powoli, powoli...

Już też modlitwę kończą zakonnicy,
Ostatnim wzrokiem żegnają te strony:
Swój cichy klasztor, gaje swej winnicy,
Sterczące skały, stary Ren spieniony...
I idą z cieżką na duszy żałobą.
Wszystkie a wszystkie zabrawszy świętości;
Wrogom rzucając pustki po za sobą,
I w grobowisku poprzedników kości!

Wiliheld ucztą cały dzień się bawi,
Nad ziemią bledną już żary zachodu;
Lecz biesiadnikom wciąż się zachód krwawi,
Gra w win purpurze, w złotych blaskach wody...
Ze wszystkich okien zamkowego gmacha,
Żółty, złowrogi, blask pochodni płynie;
Że gród się zdaje podobien do stracha,
Co chłopcy robią stawiąc świeczkę w dynie.

Żadne światełko nie mruga z klasztoru...
Zda się śród ciszy i letniego mroku
Owiany wonią i czarem wieczoru,
Zoklęty pałac dziwów i uroku.
Drzemie tak cicho, jak znużone dziecię,
Które gdy matka w zieleń upowiła,
I za pościółkę dała wonne kwiecie,
Niebaczna syna wiecznym snem uśpiła!

Z biesiadnej sali wytacza się gwarno
Przed zamek pjanych rycerzy drużyna.
— „Hej! a rozświecić mi już noc tę czarną!"
Woła Wiliheld — już przyszła godzina!"
Trzykroć gdzieś wiosło na Renie plusnęło,
Trzykroć cień łódki przemknął między skały:
Na drugim brzegu coś światłem błysnęło,
Dym wzniósł się lekki, przy księżycu biały.

I rosnąc objął klasztorne budowy,
Srebrną koronką zwisł u wieży szczytu,
Gdy nagle stał się cały rubinowy
Płomieniem ziemi i łuną błękitu.
I coraz krwawiej płyną ognia strugi,
I w trzy pożary szeroko się pali:
Jeden na ziemi, a na niebie drugi,
A trzeci pożar gore w Renu fali.

Wiliheld patrząc, uczty nie przerywa,
Słudzy nad Renem ustawili stoły;
Pić bo wesoło, gdy łuna olśniewa!
Acz sam pan zamku, nad wszystkich wesoły,
Coraz to częściej dolewa pucharu,
Ze śmiechem pieśni rozbrzmiewa sromotne;
A jego fletnią — dziki świst pożaru,
Słuchaczem jego — skał echo wilgotne.

Nagle od stołu porwał się lutnista,
Któremu Wilheld kazał sobie wtórzyć;
Ha! pieśń że jego kryształowo czysta
Dzisiaj by miała bachanalji służyć?
Wszystkie swej lutni wdzięczne struny zrywa,
Jednym akordem wielkim — potępienia!

— „Biada wam biada! — płaszczem twarz zakrywa,
Już między wami anioł przeznaczenia!"

Szczątki swej lutni w fale rzeki ciska,
I precz uchodzi, nie zwróciwszy głowy;
Za nim przeciągły śmiech urągowiska
Szydzi i z niego i z gniewu Jehowy.
Wilheld najgłośniej śmieje się w drużynie...
— „Może mnich wstanie? cha! cha! cha! proroku!"
Lecz śmiech ten jakoś nie z serca mu płynie,
Stygnie na ustach, gaśnie w błędnem oku.

Księżyc co dotąd patrzał niewzruszony,
Teraz wzrok smutny czarnych chmur powieką
Zaćmił, lutnisty proroctwem strwożony,
I poszedł ciemny drzemać gdzieś daleko.
Łuna przygasa, już się kłębią cienie,
Jeszcze mdły płomień pełza pod zgliszczami;
Wiatr deszcze iskier z sykiem gasi w Renie,
Lecą czerwone ni to krew kroplami.

I coraz czarniej — i coraz to głuszej,
Jako w sumieniu po spełnionej zbrodni...
Nikt nie odetchnie, i nikt się nie ruszy,
Daremnie woła Wiliheld: — „Pochodni!"
W tem odgłos dzwonu, przeciągły, głęboki,
Trzykrotnie wstrząsnął powietrze wzruszone;
Zawtórowały mu chórem opoki,
Lecz wnet umilkły same przerażone.

A dźwięk ten znowu po trzykroć rozbrzmiewa,
Nie ziemskie moce takim go stworzyły;
Coś w nim jak trąba archanioła śpiewa,
Gdy kruszy groby i budzi mogiły.
Wszystkie akorda brzmią w nim po kolei:
Zgryzoty, hańby, męki, potępienia!
Tylko zaginął gdzieś akord nadziei,
Tylko gdzieś milczy akord przebaczenia!

— „Ha! znam cię! znam cię! — Wiliheld zawoła,
Śmiercią jest dla mnie podziemny jęk dzwonu..."
Już pośród drżących biesiadników koła,
Cichy i blady stanął anioł skonu.
Groza wionęła ziębiącemi skrzydły,
Wszystkich zaklętem opasała kołem,
Nad trupem zawisł duch cieniów obrzydły,
I „Mane Tekel" kreśli mu nad czołem.

* * *

Od owej nocy straszliwych wyroków,
Zbiegły już lata w niejedno stulecie;
Wilheld zaginął śród czasu pomroków,
A prochem zamku wiatr po skałach miecie.
Lecz powieść moja, nie jest przeto stara.
I dzisiaj jeszcze nieraz się powtarza...
I dziś się błąka Wilihelda mara,
Zaklęta w postać groźnego mocarza...

Lwów 1876. *Iza...*

---

# Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

*(Ciąg dalszy.)*

## ROZDZIAŁ XV.

*Stary pionier.*

Gęsta mgła szaroniebieska zapowiadała zbliżanie się łagodnego lata w r. 1854 na kalifornijskich wybrzeżach. Krótka niezbyt przyjemna wiosna zaledwie przeminęła. Kwiaty kwitły jeszcze na wzgórkach otaczających San-Francisco, a dziki owies zieleniał na górach Contra-Costa. Ale dziki ten owies był ukryty za gęstą ciemną zasłoną i dzikie kwiaty przejmowało zimno od uścisków mgły. Pogoda była tak nieprzyjemna, iż Kalifornijczycy więcej niż kiedykolwiek byli usposobieni wmawiać w obcych, że mgła jest bardzo zdrowa, i że mają najlepszy w świecie klimat.

Być może, iż nikt nie był bardziej usposobiony i przyzwyczajony do wmawiania tego w obcych jak pan Piotr Dumphy, bankier i kapitalista. Stanowcza wiara jego w teraźniejszość i przyszłość Kalifornji była nieograniczona. Głębokie jego przekonanie, iż żaden kraj ani klimat nie posiada takich zalet, jego zniecierpliwianie się, przy każdem zaprzeczaniu czegoś podobnego, lub też utrzymywaniu czegoś przeciwnego, czyniły go człowiekiem wyższym nad ogół. Zwykły jego sposób wyrażania się co do tego punktu był tak stanowczy i niezwykły, iż niepodobna było pozostawać dłużej w jego towarzystwie i nie podzielać zdania jego, że wszystkie inne stosunki społeczne, klimatyczne, lub cywilizatorskie z kalifornijskiemi sprzeczne, są zupełnie wywrócone.

Cudzoziemcy wcześnie zajdowali się zniewolonymi do czerpania z tego źródła, Kalifornijczycy, trwożliwi i miękiego serca, w chwilach zwątpienia znajdowali wzmocnienie swej wiary i przywrócenie zapatrywań, po kąpieli w tym stawie, o którego pełność pan Dumphy dbał zawsze. Mianowicie ludzie przywykli z uwielbieniem przyswajać sobie poglądy pana Dumpy. Główny ton do nadętych artykułów w gazetach, do mów publicznych i korespondencyj nadawany był przez pana Dumphy. — Przypuszczenie zaś, że stanowczość pana Dumphy i jego peremptoryczny tryb szkodę przynieść może społecznemu jego powołaniu, nie znalazłyby miejsca. Bezwzględna otwartość pana Dumphy poczytana była za prawdziwą i słuszną. „Co Piotr Dumphy chce, to zawsze wiadomo", takie było powszechne zdanie o nim. „Nigdy on dla przypodobania się komukolwiek kłamstwa nie powie." Z takiemi wyraźnie wypowiadanemi wyobrażeniami, z nieświadomością tak bezwstydnie występującą, że wahający się oględny rozsądek obok niej okazywał się miękim i niemęskim, łączył p. Dumphy szczególny przymiot zupełnej niesumienności, niesfałszowanej ani kroplą cnoty.

Z takiemi rzadkiemi a sprzecznemi przymiotami siedział p. Dumphy owego poranku w prywatnym swoim gabinecie i zwykłym trybem robił opozycję mgle na dworze, lub raczej wpływowi jej na swoich zwolenników i w dalszym planie na społeczność. Miał on zdrową, ale nazbyt wygładzoną twarz, ponieważ od czasu jak czytelnik miał zaszczyt poznajomić się z nim, kazał sobie ogolić brodę, prawdopodobnie jako niepotrzebną charakterystyczną cechę. — Było jeszcze wcześnie, ale już z bystrą stanowczością, przy której nawet dokonana omyłka okazuje się jako rezultat namysłu, załatwił on wiele interesów. Właśnie podpisywał jeden list, przyniesiony przez komisanta, gdy nie podnosząc oczu, zawołał żywo:

— Przyszlijcie mi tu pana Ramireza.

Pan Ramirez, który już trzy dni starał się napróżno o wyjednanie sobie posłuchania u pana Dumphy, wszedł z widocznem wzruszeniem, jak gdyby czuł się obrażonym, do gabinetu. Ale wrażenie znikło nagle, przynajmniej o ile z powierzchowności można było wnioskować, gdy ujszał się wobec twardogłowego, gotowego do walki i rozprawy pana Dumphy.

— Witam! rzekł Dumphy, nie odrywając oczu od swego pulpitu.

P. Ramirez oświadczył, że jest w najwyższym stopniu niezadowolony z pogody, a potem z uczuciem niewymuszenia usiadł obok pana Dumphy.

— Dalej, rzekł ten ostani, słucham!

— Ja to właśnie słuchać przyszedłem, rzekł p. Ramirez w nader słodkim tonie. Chciałbym widzieć co pan masz nowego.

— Tak, rzekł p. Dumphy, szybko podpisując swoje nazwisko na rozmaitych papierach, tak, tak, tak! — Skończył swoją robotę, bystro zwrócił się ku Ramirezowi i jeszcze raz powiedział: „Tak“, w sposób tak stanowczy, iż panowanie nad sobą gentlemana całkiem się rozchwiało.

— Ramirez! rzekł potem krótko. Na ile masz pan udział w sprawie?

Ramirez, pływający jeszcze w morzu przypuszczeń, zdobył się tylko na: „Eh! ah! w czem?“

— Chcę powiedzieć, jak głęboko pan tam wlazłeś? Ile mógłbyś stracić?

Ramirez usiłował oczy swe utkwić w pana Dumphy.

— Ile... mogłbym... stracić?.. Jeżeli... gdyby co? wybełkotał.

— Ile... pieniędzy... wpakowałeś pan... w sprawę? zapytał p. Dumpy, przy każdym wyrazie trzonkiem od pióra swego w stół stukając.

— Żaduych pieniędzy! Mam interes tylko w tem, by się pani Devarges powiodło.

— No, to pan nie głęboko siedzisz! To szczęście pańskie. Odczytaj pan ten list... Wprowadzić go tu!...

Ostatnie słowa stosowały się do komisanta, który tylko co wszedł i coś szepnął. Być może iż był to szczęśliwy wypadek dla pana Ramirez, że p. Dumphy musiał zająć się nowoprzybyłym i nie miał możności wpatrzeć się w twarz pierwszego swego gościa. Gdy Ramirez odczytał list, twarz jego przybrała naprzód barwę szarego popiołu, potem ciemno purpurową; potem trzykrotnie parsknął ustami, wykrzyknął „Caramba!“ i w końcu iskrzącemi oczami spojrzał na Dumphego.

— Czytałeś to pan? zapytał wręczając mu list.

— Zaraz! przerwał Dumphy, kończąc rozmowę z drugim swoim gościem i przeprowadzając go ku drzwiom. Tak jest, odpowiedział potem powracając do swego biurka i bystro wpatrując się w Ramireza dodał: „Tak!“

Ramirez potrząsnął listem i głupio uśmiechnął się do Dumphyego.

— Tak, powtórzył Dumphy wychylając się naprzód i biorąc list z rąk Ramireza. Tak; jak się zdaje, ona chce wydać się zamąż, mówił dalej, wpatrując się w list... za brata, który jest w posiadaniu... niech się dzieje co chce!

Z ruchem, jak gdyby poczytywał sprawę za ukończoną, p. Dumphy, w którego Ramirez miał ciągle utwione oczy, włożył list do szuflady i począł stukać trzonkiem od pióra w stół.

— A ona... ona? wystękał Ramirez chrypliwie, ona?

— O! ja nie włożę dolara w tę sprawę. A jednak była to znakomita lokacja kapitału. Gdyby ona przeprowadziła swoją sprawę drogą procesu, to pewno wygrałaby. Pan byłeś w posiadaniu pełnomocnictwa, lub testamentu — prawda? Czy nie znajdował się tam dowód, że istnieje inna jeszcze kobieta? ciągnął dalej p. Dumphy zwykłym swoim donośnym głosem, z najzupełniejszą obojętnością patrząc na ruchy Ramireza wzywające do ostrożności. — A! tysiąc!.. jak że się macie! rzekł do nowego gościa; właśnie chciałem posłać panu kartkę...

Ramirez wstał. Długie jego palce skurczyły się, w twarzy nie było ani kropli krwi; usta miał suche.

— Dlaczego pan się tak spieszy? zapytał Dumphy. Zacznij pan znowu co mówić. Chciałbym byś się pan dowiedział jeszcze o jednej rzeczy, panie Ramirez. Włożyliśmy pieniądze w jeden udział; abyśmy zapewnili się o nim, brakuje mu dwóch ważnych dokumentów. Sądzę, że one muszą znajdować się gdzieskolwiek, gdzie pan łatwo możesz je wyszukać. Co do możebnych wydatków to temi niech pan mnie obciąży.

Pan Dumphy powiedział to całkiem bez ceremonji, nawet bez żadnego ciemnego napomknienia, ale z bezwstydną otwartością. W samej zaś rzeczy myślał mniej więcej: „Jesteś łotr — ja także. Czy człowiek, który nas tu słucha jest takim samym, czy nie — to może być dla nas obojętnem.“

Usiadł znowu, zwrócił się ku nowoprzybyłemu i o dawniejszym swym gościu zapomniał wkrótce.

Na szczęście Ramirez, wyszedłszy na ulicę, odzyskał władzę nad swoim językiem, chociaż nie odzyskał zwykłej barwy swej twarzy. Zresztą mgła, nadając wszystkim twarzom niebiesko-szarawą barwę, sprawiła że zmieniona twarz Ramireza pozostała niepostrzeżoną. Poszedł prędko, jakby bez przeświadczenia, ku wodzie, i dopiero stanąwszy w przystani statków parowych zatrzymał się. Zdawało mu się, że z gabinetu pana Dumphy aż tu, jeden tylko krok zrobił. Między tym punktem a przystanią, umysł jego nie doznał żadnego wrażenia; czas ubiegły między temi dwoma punktami w pamięci jego był niczem.

Parostatek do Sacramento, odpływał dopiero o ósmej godzinie wieczorem, a teraz była zaledwie dziesiąta rano. Wiedział on o tem idąc tu, ale nie był w stanie oprzeć się mściwemu zapędowi. Dziesięć godzin czekać, dziesięć godzin pozostawać bezczynnym, nie módz nic robić!... Jak on spędził ten czas?... Mógł ostrzyć swój nóż. Mógł kupić sobie nowy. Mógł nabyć lepszy pistolet... Wałęsając się wśród mgły, przechodził koło sklepu, w którego oknie wystawiono było mnóstwo białej broni. Zaszedł tam i począł długo rozglądać rozmaite towary. Szczególny pociąg uczuł do jednego długiego o szerokiej klindze noża. „To mój własny wyrób,“ rzekł sprzedający z profesyjną dumą, szeroką swą dłonią obcierając ostrze. „Rozcina pół dolara na pół. Patrz pan!“

Rzucił pół dolara na stół i jednym szybkim zamachem rozciął go. Ramirez był zadowolony i wyjawił życzenie, że sam chce zrobić próbę. Ale ostrze pośliznęło się, pół dolar odskoczył i tylko szerokie zacięcie ukazało się na stole.

— Pan masz wzburzone nerwy i jesteś bardzo niecierpliwy, rzekł sprzedający spokojnie. Już to wszyscy panowie jesteście tacy! Lada drobnostka unosi was, jak gdyby Bóg wie co na niej zależało. Pan nie powinieneś tak się rwać! Rób pan spokojnie — tak!... I znowu szybkiem, pewnem, dobrze wymierzonem cięciem, powtórzył sztukę.

Ramirez kupił nóż; a sprzedający obwijając go w papier, powiedział z filozoficzną swobodą:

— Dziś rano niech pan nie probuje. Jest zawcześnie, a przekonałem się, że panowie, którzy całą noc hulali, zrana nie posiadają zwykłej swej zręczności. Niech pan zrobi próbę, całkiem dla siebie, dziś popoludniu; a nie myśl pan przytem, że coś wielkiego wykonywasz — pewno się uda.

Wyszedłszy na ulicę, Ramirez spojrzał na zegarek. Jedynasta! Dopiero jedna godzina upłynęła. Zapiął surdut, włożywszy nóż do kieszeni bocznej, i z gorącym pośpiechem popędził naprzód. Dwunasta godzina zastała go wałęsającego się koło misji Dolores. W jednej z bocznych ulic spotkał kobietę, tak podobną do tej, która zapełniała wszystkie jego myśli, że dwa razy zerknął złośliwie, co ją przestraszyło, tak że się cofnęła. Ta okoliczność, wzruszenie, ciągle suche usta, zniewoliły go do zajścia do restauracji, gdzie wypił nad miarę, przez co jednak wzruszenie ani się wzmogło ani zmniejszyło. Gdy powrócił znowu na ożywioną ulicę, poszedł w mniemaniu, że zachowuje się zupełnie tak samo jak inni, szybko naprzód, puszczając wodze myśli, która go opanowała.

Różne miał zamiary. Jednym zamiarem było ujrzeć niewierną, wyrzucić jej niewierność i w uniesieniu oburzenia udusić. Drugim, który mu się więcej spodobał: ją i nowego jej współwinowajcę— gdyż Ramirez jak wielu zazdrośników nie wierzył w żadne szlachetne motywa, napaść znienacka i oboje zamordować. Trzecim, który dopiero później się wytworzył — całą morderczą swą zawziętość zwrócić na mężczyznę i napoić się potem jego cierpieniem i zawodem, a może jego błaganiem o przebaczenie. Ale musiał czekać dwa dni nim to nastąpi. Może już pobrali się. Może już umknęli...

W takich dzikich, namiętnych rozmyślaniach nad wywołaniem efektu, ani na chwilę nie powstała w nim najmniejsza wątpliwość co do właściwości jego zamiaru. Że był oszukany, bez nadziei, bez ratunku, było widocznem. Od czasu jak przeczytał ów list, cała jego uwaga byłaześrodkowana na jednej myśli, wyrażanej w języku miejscowem wyrażeniem „Bobo.“ Ciągle stało mu tu przed oczami. Wyraz ten czytał na wszystkich szyldach na ulicy; brzmiał on ciągle jak stłumione echo w jego uszach. „Bobo!“ o! niech ona będzie ostrożna! dowie się czy on na tą nazwę zasługuje!

Południowa godzina przeminęła i mgła opadła. W przystani ozwały się głosy dzwonków i parowych świstawek. A jeżeli parowiec nie odpłynie? Jeżeli spóźni się o kilka godzin, jak to się często zdarza? Postanowił iść do przystani i wypytać się. A tymczasem niech szatan porwie mgłę i tego psa kapitana i nikczemną jego załogę, jeżeli nie zechcą odpłynąć! Poszedł prędko ulicą Handlową i ujrzawszy przed sobą Arcade-Salon wszedł tam z instynktem człowieka, z rozpaczą wchodzącego w rozpaczliwe miejsce i złośliwie spojrzał dokoła.

Ogromna przestrzeń, jaśniejąca światłem, złotem i zwierciadłami okazała się spokojną i poważną w porównaniu z ruchem i gwarem ulicznym. Zawcześnie jeszcze było dla zwykłych gości tutejszych; kilka tylko długich stołów do gry było zajętych. Dopiero jeden bank był otwarty, ku niemu zwrócił się Ramirez, powodowany wrodzonem zamiłowaniem swych ziomków do gry. Trafiło się właśnie, że pan Jack Hamlin chwilowo miał sobie powierzone sprawy tego banku i obojętnie karty rozdawał. W nawiasie tu nadmienimy, że grano w Faraona. Obecną swą czynność spełniał p. Hamlin z przyjaźni dla zwykłego rozdawacza kart, który o jedno piątro wyżej obiadował w tej chwili.

Ramirez rzucił na stół sztukę złota i przegrał. Spróbował szczęścia powtórnie, i przegrał znowu. Potem po raz trzeci. Natenczas dał wyraz swemu uczuciu, wygłosiwszy charakterystyczne „caramba!“ P. Jack Hamlin spojrzał. Nie samo zaklęcie, nie wyraz niezadowolenia — z jednem i drugiem p. Hamlin nieraz się spotykał

w życiu — ale pewien charakterystyczny odcień głosu, obudziły pewne wspomnienie w jego wrażliwej pamięci. Spojrzał do góry i — posługując się własnem jego wyrażeniem — „zwietrzył“ właściela głosu. Niczem nie okazał po sobie, że go poznał i spokojnie grał dalej. Przy następnem rozdawaniu kart, wygrał p. Ramirez, ale Hamlin pociągnął łopatką jego złoto wraz z innemi wygranemi.

Jak bez wątpienia oczekiwał Hamlin, zerwał się Ramirez, dobitnie zakląwszy, po czem Hamlin stawkę z wygraną odsunął. Nie biorąc pieniędzy ze stołu, zerwał się Ramirez i podskoczył ku grającemu.

— Pan chcesz mnie obrazić! pan chcesz może o-szu-kać, co?... pan chcesz podchwycić moje pieniądze! krzyknął chrapliwym głosem, gwałtownie machając jedną ręką, a drugą chwytając się za kieszeń.

Jack Hamlin utkwił dwoje siwych swych oczu w mówiącego i rzekł z zimną krwią:

— Usiądź Johnny. *)

Miotany namiętnościami w ostatnich godzinach, pod wpływem myśli o mordach, które mu krew wzburzały, w dzikiem przeświadczeniu, że znowu doznał obrazy, Ramirez najchętniej powaliłby gracza na ziemię. Być może, iż miał to na myśli gdy się zerwał, może czuł się pociąganym ku temu, on, on, Ramirez, którego obecność dwudniowa w One horse gulch, dwa serca trwogą i przerażeniem napełniłaby, on, którego teraz Johnnym nazwano; ale spojrzał w oczy Hamlinowi i zawahał się. Co w nich wyczytał, nie podobna powiedzieć. Były to zresztą oczy piękne, jasne i otwarte; nie jedna kobieta znalazłaby je filuternemi i czułemi. Dość, że Ramirerz powrócił na swoje miejsce nie spełniwszy swego zamiaru.

— Nie znacie tego człowieka! rzekł Hamlin do dwóch siedzących tuż koło niego graczów poufnie, ale tak jakoś donośnie, iż wszyscy siedzący za stołem, nie wyłączając Ramireza, słyszeli. Wy go nie znacie, ale ja znam... To szalona pałka! ciągnął dalej mierząc go wzrokiem i spokojnie kartując karty, to w najwyższym stopniu zuchwała sztuka. Posiada on Cattle-Ranch**) w Sonomie i prywatny cmentarz dla grzebania własnych swoich nieboszczyków. Nazywają go „żółtym sępem z Sonomy.“ Teraz jest cokolwiek wzburzony; zapewne znowu kogoś uśmiercił i wietrzy krew.

Ramirez wykrzywił swoją twarz do uśmiechu, i udawał, że z uwagą śledzi za grą, gdy Hamlin zatrzymał się, by zagarnąć złoto.

— Brudny to chłop, ten Johnny, ciągnął Hamlin dalej podczas mięszania kart, brudny i przebiegły! głównie gdy krew wietrzy. Popatrzcie tylko, jak tam siedzi i uśmiecha się. Wie on, że za pięć minut Jim powróci tu, a wtenczas ja będę wolny. Na to on czeka. Taki to jest żółty sęp z Sonomy... ma on i nóż w kieszeni; obwinięty w szary papier, żeby koloru nie stracił. O! ten Johnny bardzo starannie chodzi koło swej broni. Dla każdego nowego człowieka, ma nowy nóż.

Ramirez wstał, usiłując okazać się wesołym i schował wygraną. Hamlin udawał, że nie zwraca na to uwagi aż dopóki nie zamierzył oddalić się od stołu.

— Zaczekaj tam na mnie, powiedział, za pięć minut, Johnny! krzyknął za odchodzącym Ramirezem. Jeżeli nie możesz czekać, to ja na ciebie zaczekam w następującym tygodniu w hotelu Marysville, pokój numer 95, sąsiedni pokój, Johnny, sąsiedni!

Ramirez znajdujący się znowu na ożywionej ulicy, był tak odmiennym od Ramireza, który przed dwudziestu minutami wchodził do Arcade-Salon, iż o tożsamości jego łatwo możnaby zwątpić. Nawet nie oddychał tak samo; usta jego, chociaż obwisłe, odzyskały swą barwę, oczom dotąd osłupiałym powróciła ich zwykłe ruchliwe ożywienie. Wyjąwszy tego, że po opuszczeniu salonu biegł naprzód prędko i szybko obejrzał się parę razy poza siebie, czy kto nie goni za nim, cała jego istota całkiem się zmieniła. I to bez rozlewu krwi, bez nasycenia żądzy zemsty!

Ponieważ wolę mieć znajomość z panem Ramirezem, nie roszcząc pretensji do tego, by znać tego gentlemana lepiej, aniżeli on sam siebie, więc niepodobna mi wyjaśnić zmiany, jaka w nim zaszła. Wiem tylko, że o godzinie w pół do siódmej, był on zgodny z sam z sobą w tem, że cielesna kara nie jest szlachetnym środkiem zemsty, a o pół do ósmej, zrobił postanowienie, nie jechać statkiem parowym Sacramento. Są jednak powody do przypuszczenia, iż w ciągu ostatnich sześciu godzin, był tak stanowczym mordercą jak ktokolwiek z tych, którzy już za czyn podobny karę ponieśli; okoliczności tylko tak zrządziły, że znalazł się taki pan Hamlin, który oddziałał na niego.

Ramirez poszedł powoli ulicą Montgassy, aż do ulicy Pacific. Na rogu zatrzymany został przez powóz przejeżdżający w kierunku przystani. Ramirez poznał pocztę, ale nie wiedział, iż poczta ta wiezie list następujący:

Szanowna pani!

„List Jej z dnia 10 b. m. otrzymałem i treść jego zanotowałem. Jestem gotów usługi moje sprawie Jej ofiarować. Sądzę, że wytknięta przez Panią droga jest odpowiednia planowi, który Pani ułożyłaś. Chciałbym poradzić Pani, ażebyś żadnej osobistej rozmowy panu Ramirezowi nie udzielała, lecz odesłała go do pana Conroy. P. Ramirez jest usposobiony do wierzenia, że nie przestraszy się gwałtu, jeżeli trzecia osoba zawadzać mu nie będzie.“

Najniższy sługa.

(C. d. n.) Piotr Dumphy.

*) Zdrobniałe od John; w Ameryce, w niższych sferach społecznych, nadaje się każdemu, czyje imię właściwie nie jest znane. W takim razie, oznacza pewne lekceważenie i obrazę.

**) Cattle-Ranch, łąka pograniczna, na której wypasa się na pół dzikie bydło po 10 i 20,000 sztuk oznaczonych wypaloną cechą.

---

## Kronika naukowa.

Wiadomo, że stosunek ilościowy substancyj znajdujących się we krwi nie jest niezmiennym, a szczególnie, że ilość kuleczek czerwoniawych pływających w wodnym płynie krwi zmienia się ze stanem zdrowia ustroju ludzkiego i zwierzęcego. U niedokrewnych jest liczba tych kuleczek mniejszą od przeciętnej, a nawet u tego samego osobnika zmienia się ze zmianą sposobu życia, pożywienia i powietrza. Tak samo zmienia się też według okoliczności ilość żelaza we krwi się znajdującego. Ponieważ czerwone ciałka we krwi zawarte wielką rolę w życiu odgrywają, gdyż to one wskutek oddechania przyjmują tlen przez płuca, więc starano się je obliczyć. Obliczenia te były jednak tak mozolne, że tylko u niewielu gatunków zwierząt mogły być do niedawna wykonane. Malassez i Picard wynaleźli jednak niedawno nowy sposób, według którego obliczenia te można łatwiej, prędzej i z większą ścisłością wykonywać. Sposób ten jest następujący: krew wlewa się w małą szklaną na stopnie podzieloną rurkę, i patrzy się przez drobnowid, którego szkło przyoczne podzielonem jest na kwadraty, licząc przytem ile kuleczek przypada na pewną liczbę tych kwadratów, z czego ilość kuleczek znajdujących się w jednym kubicznym milimetrze krwi łatwo się daje obliczyć. Obliczenia robione w ten sposób wykazały, że u zwierząt ssących zawiera jeden kubiczny milimeter krwi $3^1/_2$ miljona do 18 miljonów kuleczek. U ptaków zawiera równa ilość krwi najmniej 1,600.000, a najwięcej 4,000.000 tych kuleczek. Jeszcze mniejszą jest ich liczba u ryb, u których w tym względzie dwie gromady rozróżniać należy t. j. ryby kościste i ryby chrząstkowate, z których pierwsze mają 700.000 do 2,000.000, drugie zaś 140.000 do 230.000 kuleczek w jednym milimetrze krwi. Liczba tych kuleczek jest więc mniejszą u zwierząt należących do klas niższych. Wielkość ich zaś stoi w ogólności w odwrotnym stosunku z ich ilością. Spostrzeżenia, które Malassez i Picard w Colege de France robili, okazały oprócz tego, że ilość kuleczek we krwi zmienia się u tej samej osoby z ilością i jakością spożytego pokarmu, jakoteż według tego, czyli osoba, której krew badano zachowywała się przedtem spokojnie lub też natężony ruch fizyczny odbywała. Pora roku ma także wpływ w tym względzie; w zimie bowiem jest u tej samej osoby liczba kuleczek większą, niż w innych porach roku. Także ilość żelaza zawartego we krwi, okazała się różną, według tego w jakim stanie zdrowia znajdowała się osoba, którą badano. Czem więcej tlenu krew pochłania, tem więcej żelaza przyswaja sobie organizm z pokarmu spożytego i wskutek tego proces spalenia i cała czynność życiowa organizmu raźniej się odbywa. Z pomnożeniem ilości żelaza powiększa się także liczba kuleczek we krwi. Dawniejsze przypuszczenie, jakoby ze wszystkich części organizmu najwięcej żelaza krew zawierała, okazało się wskutek doświadczeń Picarda nieprawdziwem; doświadczenia te bowiem wykazały, że śledziona zawiera stosunkowo więcej żelaza niż krew.

Dalsze badania wykazały, że gruczoły, jeżeli nie są właśnie czynnemi, albo jeżeli są porażone, daleko mniej kuleczek, a tylko czarną krew zawierają niż w przeciwnym razie. Odwrotne spostrzeżenie zrobiono na śledzionie, która gdy wskutek przecięcia nerwów została porażoną, więcej kuleczek i więcej żelaza zawiera niż w stanie czynnym; gdy natomiast w tenczas we krwi mniej się kuleczek i żelaza znajduje. Zdaje się według tego, jakoby śledziona, której cel w organizmie nie jest jeszcze zupełnie znanym, była regulatorem ilości żelaza, które krew zawiera.

* * *

Do zjawisk, które dotąd nie są jeszcze w zupełności wytłumaczone, należy także zorza północna. Różni przyrodnicy podali rozmaite tłumaczenia tego zjawiska, z których równie jak z doświadczeń robionych przez de la Rive wynika, że zorza północna jest w związku z magnetyzmem ziemi. Wszystkie te jednak badania nie wystarczały do wytłumaczenia wszystkich oko-

liczności towarzyszących zorzy północnej; co było powodem, że Plante robił w tym względzie nowe doświadczenia, przy których otrzymał szereg zjawisk zupełnie podobnych do różnych faz zorzy północnej. Doświadczenia te, których wyniki Plante opisał i przedłożył Akademji umiejętności w Paryżu, są następujące:

Jeżeli się elektrodę dodatną silnej baterji galwanicznej zetknie z wilgotną ścianą naczynia zawierającego wodę słoną, w której zanurzono już przed tem elektrodę ujemną tej samej baterji, okazuje się stosownie do oddalenia w jakiem się koniec elektrody dodatniej od powierzchni płynu umieści, albo wieniec świetlany otaczający elektrodę, albo łuk promienny, albo linja wężowa, która się szybko zgina i odgina. Ten ruch falowy ma bardzo wielkie podobieństwo do ruchu, jakiemu podlegają zorze północne.

Oprócz światła żółtego pochodzącego z tąd, że przy tem doświadczeniu używa się wody słonej, okazuje się także światło purpurowe i fjołkowe, tak jak w zorzach północnych.

Promienie łuku świetlanego pochodzą z prądu elektrycznego przechodzącego przez płyn, próżnia wskutek tego powstała zapełnia się, nowe promienie się tworzą, i podobnie jak promienie zorzy północnej poruszają i zmieniają się co chwila.

Ciemny odcinek utworzony w zorzy północnej przez mgłę, na którą natrafia prąd elektryczny, znajduje w doświadczeniu, o którem mówimy, odpowiednie zjawisko w odcinku wilgotnym otaczającym elektrodę, około którego przechodzi prąd elektryczny.

Postać łuku, którą przybiera światło elektryczne w tem doświadczeniu pochodzi ztąd, że płyn nie otacza zupełnie elektrody; jeżeli się jednak drut głębiej zanurzy, to okazują się zupełne okręgi świetlane, tak samo jak w zorzy północnej jest łuk często tylko widoczną częścią zupełnego okręgu świetlanego.

Prąd elektryczny silnie porusza cząsteczkami płynu i sprawia zjawisko wirów i pierścieni świetlanych, a jeżeli się robi doświadczenie z niewielką ilością płynu, to okazuje się zjawisko świetlane podobne do fluktuacji światła w zorzach północnych.

Czem głębiej elektroda jest zanurzona w płynie, tem więcej pary wytwarza się z wody. Zjawisko to tłumaczy nam spadanie śniegu, zdarzające się często podczas świecenia zorzy północnej.

Szelest towarzyszący tym doświadczeniom pochodzi z tej samej przyczyny jak ten, który daje się słyszeć podczas zorzy północnej, to jest pochodzi z przemienienia się wody w parę wskutek działania elektryczności.

Igła magnesowa znajdująca się w pobliskości przyrządu, którem się eksperymentuje, bywa tak samo zaniepokojona jak podczas zorzy północnej, a to tem bardziej, im jaśniejszy łuk świetlany okazuje się w płynie.

Plante twierdzi, że zorze północne, sprawiane bywają przez elektryczność dodatną, ponieważ zjawiska świetlane w zorzy północnej są te same jakie się okazują na elektrodzie dodatnej, w woltametrze, a elektroda ujemna nie okazuje nic podobnego. Na podstawie tych doświadczeń, uważa Plante ziemię i inne ciała niebieskie, jako naładowane elektrycznością dodatną i twierdzi, że zorze północne są skutkiem ulatniania się tej elektryczności około biegunów magnetycznych, a to albo w promieniach ciemnych jeżeli elektryczność nie znajduje przeszkód, albo też zamieniona na ciepło i światło gdy natrafi na zbiorowiska wodne w stanie płynnym lub stałym, które ulatnia z szelestem i strąca na powierzchnią ziemi w postaci deszczu lub śniegu.

* * *

Dr. Mohr z Bonn i prof. Ludwig, poddali bliższemu badaniu meteoryty spadłe w różnych miejscach. Badania te wykazały, że oprócz znanych już składników mineralogicznych, w meteorytach znajduje się także woda w połączeniach chemicznych. Ilość tej wody wynosi czasem około 1 i pół procentu. Dr. Mohr przekonał się o tem przez rozbiór aerolitów spadłych w Pułtusku, Staunern, Mezo-Madaras, Agen, Aigle i Salés. Również wykazał, że aerolity po stopieniu, zmieniają ciężar gatunkowy. Z tych i niektórych innych faktów wnosi Dr. Mohr, że meteoryty pochodzą z masy rozbitego planety, na którym była woda i życie ustrojowe.

*Ludwik Wierzejski.*

---

# POGADANKI.

## IX.

Skończyła się nareszcie walka wyborcza, w całym kraju radość i życzenia, bo zastęp ludzi, pragnących szczerze pracować, zwiększył się tym razem — a natomiast do rozmiarów mikroskopijnych zmniejszył się zastęp intrygantów politycznych, których wszystkie marzenia biegły hen! nad Newę.

Dziwne to zaiste zjawisko psychologiczne, że w chwili gdy biały car gotuje się do walki na Wschodzie, aby nieść światło (?) cywilizacji (!), że w chwili takiej galicyjscy jego zwolennicy upadają na duchu i dają się bić na całej linji. Czy nie mieli czasu przygotować się do walki, lub czy może ich samych to przestrasza, czego niedawno jeszcze tak gorąco pragnęli? Jeżeli obawa przed zbliżającą się burzą jest przyczyną ich przegranej, to w takim razie musielibyśmy chyba uwierzyć, że szczerze nie byli oni ani Rusinami ani Moskalami, i tylko w widokach osobistych udawali to jednych to drugich... Kto wie, czy to przypuszczenie nie jest najprawdziwsze...

Dajmy atoli pokój sprawom tak poważnym, a pomówmy raczej o drobniejszych.

Wracając z ratusza, gdzie mi kazano głosować na czterech posłów, postrzegłem dwie młode i bardzo przyzwoite panienki, które ścigane przez trzech młodzieniaszków, biegły wzdłuż kamienic, zdążając ku kościołowi katedralnemu. Zbliżywszy się na kroków kilka, usłyszałem uwagi i żarty owych panów, tak rubaszne i nieprzyzwoite, że pomykające przed nimi dziewczęta mogły się czuć boleśnie dotknięte. Czy to ładnie?

My Polacy słynęliśmy zawsze z grzeczności, i nie bez słuszności nazywali nas w Europie Francuzami północy. Kobieta była u nas zawsze czczoną, bo jako istota słabsza, której mimo to tyle zawdzięczamy, zasługuje na cześć i szacunek. Czyż te piękne przymioty narodowe zatracimy jak rzecz, która nas znudziła i w oczach naszych nie ma już żadnej wartości?

To co niejednokrotnie własnemi widzieliśmy oczyma, potwierdzi tysiące innych. Młodzież nasza, a w jej gronie tak zwane „gogi" lwowskie, zamiast iść w ślady swoich ojców, którzy dla kobiet byli i są grzeczni, zaczyna przybierać ruchy tak szorstkie, i tak mało uważa na słowa swoje, jak by krew polska przestała płynąć w jej żyłach. Ściganie kobiet najprzyzwoitszych, tarasowanie przejścia na chodnikach, zaglądanie pod kapelusze po kościołach, nareszcie głośno robione uwagi, oto grzechy, których młodzież dzisiejsza zbyt często się dopuszcza.

Skarżono się dawniej na arogancję wojskowych; dziś wojskowych, zachowujących się na ulicy jak najprzyzwoiciej, możnaby gogom za wzór postawić.

Niech te słowa nasze, któremi osobiście nikogo dotknąć nie chcemy, utkwią w pamięci wszystkich młodych ludzi, bo cierpliwość spokojnych mieszkańców ma także swoją granicę...

* * *

Szanowny redaktor *Wieńca, Pszczółki* i *Piasta*, wzywa nas w tem ostatniem piśmie, byśmy mu powiedzieli, dla czego w jednym z kierujących artykułów *Tygodnia* ośmieliliśmy się twierdzić, iż ludowe jego pisma są „przewrotnie" redagowane. Równocześnie zapytuje nas ks. Stojałowski, czy kiedykolwiek napisał on co takiego, coby burzyło porządek społeczny, albo sprzeciwiało się zdrowemu postępowi.

Nie zwlekając z odpowiedzią, przypomniemy szanownemu koledze ów artykuł o rodzicach ofiarujących życie swego dziecka za świecką władzę papieża, artykuł, który swego czasu narobił tyle wrzawy w całej prasie niezawisłej. Wszak nikt nie powie, aby przykłady jak ten, przyczyniały się do budowania ładu w społeczeństwie i były w zgodzie ze zdrowym postępem. Sądzimy również, że pismo które mówi: ofiarujcie swoje dzieci, byle dzięki tym ofiarom papież odzyskał dawniejszą władzę świecką — jest „przewrotnie" redagowane, ponieważ w mózgach swoich czytelników, którymi są włościanie, do góry nogami przewraca zdrowe zasady moralności. Wyrażenia więc nie cofamy, ale cofniemy je każdej chwili, jeżeli ks. S. oświadczy, że fatalny ów artykuł został umieszczony bez jego wiedzy i wbrew jego przekonaniu.

Przy tej sposobności musimy podziękować szanownemu redaktorowi *Piasta* za ton przyzwoity, jakim do nas przemawia. Koledzy jego z *Przeglądu lwowskiego* tak są nieprzyzwoici i rubaszni, że nie sposób czytać ich artykuły. Im też nie odpowiemy nigdy, ale ilekroć ks. Stojałowski zapyta nas tonem grzecznym, bezwłocznie pospieszymy z odpowiedzią.

Można być zasad przeciwnych, można należeć do stronnictw wrogo przeciw sobie stojących, a mimo to można z sobą spokojnie rozmawiać. Tylko ludzie źle wychowani nie pojmują tych form światowych.

* * *

Przemysł drobny w artykule wstępnym, przemysł drobny w artykule oddzielnym, i przemysł drobny w pogadance, — to trochę za wiele, powiedzą nasi czytelniay. Ach! tego ni gdyza wiele, bo są sprawy tak ważne i dla kraju tak niezbędne, że choćby się o nich co dzień mówiło, jeszcze by nie jedno pozostało do powiedzenia, a przypominaniem ich bezustannem obudziło by się może i tych ospałych, którzy myślą, że tu się nic nie zrobi, bo jakieś wyroki tajemnicze skazały nas na zagładę!

W tych dniach przyjechał z Wiednia do Ga-

licji referent szkół i szkółek przemysłowych, radca ministerjalny p. Hermann, któremu polecono zwiedzieć zakład Drohowyżski, aby w porozumieniu z jego dyrektorem, p. J. Starklem ułożył system udzielać się tam mającej nauki w przemyśle, tak, by ten zakład stał się nie tylko szkołą przyszłych rzemieślników, lecz także przyszłych nauczycieli wędrujących, którzyby ułatwiali zakładanie szkółek dla drobnego przemysłu. Dziś bowiem nauczyciela takiego, któryby umiał po polsku, niepodobieństwem znaleźć.

Nie wątpimy, że p. J. Sterkel, który złożył tyle dowodów miłości kraju, uczyni ze swej strony wszystko, aby dobrym dziś chęciom rządu przyjść w pomoc, co w niedalekiej już przyszłości może złote wydać owoce.

* * *

Balzac na scenie lwowskiej to zjawisko bardzo rzadkie. Kilka dni temu widzieliśmy *Mercadeta* tegoż autora, a chociaż sztuka cała odbiega od teraźniejszych komedyj francuskich, chociaż nie brak w niej nadto długich monologów, nużących tak dobrze artystów jak widzów, chociaż nareszcie sam sens moralny jest natury dość dwuznacznej, mimo to wysłuchaliśmy cierpliwie całości, podziwiając pilność p. Stanisława Dobrzańskiego, który grając rolę główną, mówił całemi godzinami, a mimo to ani roli zapomniał, ani się znużył. Z tem wszystkiem nie powiemy, by *Mercadet* jakim go zrobił p. Dobrzański, był takim, jakim go sobie w naturze wyobrażamy. Mercadet Balzaca, to nie szarlatan, nie komedjant od rana do wieczora, to szpekulant do krwi i kości, działający z przekonania, wierzący w swoją gwiazdę, nieupadający nigdy na duchu, i tylko czasem, w chwilach największej konieczności, grający płaską komedję. Zważywszy to wszystko nie wątpimy, że rola tytułowa odpowiada nierównie więcej talentowi p. Fiszera jak p. Dobrzańskiego, i dlatego na przyszłość powinnaby być pierwszemu powierzoną.

* * *

W księgarni p. Wł. Bełzy w hotelu Zorża, oglądaliśmy temi dniami bardzo dobrą fotografię, zdjętą ze sławnego obrazu Siemiradzkiego, „Świeczniki Nerona.“ Z fotografji trudno mieć wyobrażenie o kolorycie, który na obrazie wielką odgrywa rolę, ale za to lepiej niż z oryginału można się z niej przekonać o rysunku, ugrupowaniu i innych zaletach tej pracy pierwszorzędnej. Pochodzi to z tąd, żo oryginał dla swego ogromu, nie da się od razu objąć okiem, gdy natomiast fotografja wszystko koncentrując uwydatnia kontury. Otóż z tej fotografji przekonaliśmy się dostatecznie, że harmonja w ugrupowaniu jest tak oryginalną i wzorową, że równie pięknej poszukać chyba u mistrzów starożytnych. Na płótnie znajduje się osób bez liku, obraz podzielony na kilka części głównych, a przecież całość zlewa się harmonijnie, tłoku nie ma najmniejszego, wszystko łączy się i żyje. Przecudowna jest część na prawo, gdzie widzimy szereg słupów, na których męczennicy konają. Jak łatwo można tu było popaść w grozę wstrętną, a jak szlachetną, podniosłą, piękną uczynił ją artysta!

Na wystawie warszawskiej znajduje się w tej chwili drugi obraz Siemiradzkiego, rozmiarów stosunkowo niewielkich, któremu autor dał nazwę „Elegja.“ Przy grobowcu stoi dwoje młodych ludzi, w strojach pochodzących z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Elegja przed niemi, elegja w powietrzu, elegja w powietrzu i całej naturze...

* * *

*Aida* w czwartek! ceny podwyższone! Ilekroć będą przedstawiali *Aidę* ceny nie będą zniżone! Kostjumy i dekoracje nowe! *Aida* w czwartek!

Takie ogłoszenie widzieliśmy od dni kilku na rogach wszystkich ulic, to też w czwartek nie czekając nawet jak się skończą wybory w ratuszu, pospieszyliśmy do teatru aby usłyszeć tę sławną operę Verdiego, o której w Europie tyle już mówiono.

Nie wdając się w szczegółową ocenę, co będzie rzeczą muzycznego sprawozdawcy „Tygodnia,“ podzielę się z naszymi czytelnikami tylko ogólnem wrażeniem. Co do muzyki samej, ta nie zrobiła na nas wrażenia nadzwyczajnego. Verdiego zaledwie poznać, tak on tu odbiega od tradycji szkoły włoskiej; za to wystawa przeszła nasze oczekiwanie. Jak dotąd, na scenie lwowskiej nie widzieliśmy jeszcze opery z takim przepychem wystawionej. Starożytne kostjumy egipskie rzeczywiście nowe, a dekoracje nie pozostawiają nic do życzenia. Nie tylko ci, którzy Egiptu nie znają, lecz i ten kto własnemi oczyma oglądał oryginalne pomniki egipskiej architektury, nie może dekoratorowi żadnego zrobić zarzutu. Jeżeli dodamy, że artyści dzielnie się trzymali i chóry nigdzie nie psuły, to chyba już i czytelnicy nasi dziwić się nie będą, dla czego ceny na tę operę zostały podwyższone.

Sala była przepełniona, każdy zadowolony wyszedł z teatru. Staranność dyrekcji zasługuje na najwyższą pochwałę.

*Józef Rogosz.*

---

## O potrzebie rozwoju przemysłu małego

### czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

*(Ciąg dalszy.)*

Góry nasze pokryte nieprzejrzanemi kniejami, ze względów klimatycznych i garbowatości powierzchni, tworzą odrębną gospodarkę. W dawnych czasach, łowiectwo i rybołowstwo odgrywały ważną rolę; gdy jednak rozwielmożniło się gospodarstwo rabunkowe XIX. wieku, więc i Karpaty nasze w wielu miejscach zaledwie w zarysie powierzchni zachowały dawniejszą postać, a z tąd i mnogość zwierza się zmniejszyła. Latem paszenie i koszenie traw na zimowy zapas, wyrób bryndzy i masła stanowiły jedyne zatrudnienie górala, a chociaż w niższych położeniach są ślady i możliwość rolnictwa, to hucuł kładzie takowe zawsze na drugim planie. Dawniejsze łowy zimą na niedźwiedzia, rysia, jelenia, zeszły do bardzo szczupłych rozmiarów.

Urocze widoki natury, chociaż hucuła usposabiają do marzenia, to jednak klimat górski nie wyradza w człowieku lenistwa właściwego mieszkańcom stref więcej gorących lub równin. Przeciwnie: wytwarza w mieszkańcu gór sprężystość, a tem samem czynność myśli i ciała. Hucuł umie sobie radzić z nieporównaną praktycznością w życiu codziennem. Gdzie potrzeba wymaga, ma chińską cierpliwość, a przy tem szczególne zadowolenie, jeżeli to, co mu potrzebne, sam może stworzyć z pewną wykwintnością, której poczucia piękna trudno odmówić.

Jest jeszcze bardzo ważnym objawem, że tam gdzie hucuł własne potrzeby już zaspokoił, instynktowo bierze się specjalnie do jakiegoś wyrobu przemysłowego. Przedewszystkiem hucuł czy góral w ogóle, stara się przetworzyć i zużytkować ten materjał, który ma pod ręką; a więc na pierwszym planie przemysłu małego, domowego, jest u niego drzewo, którem w wielu wypadkach zastępuje żelazo, włókno i skórę. Oszczędność tych trzech czynników jest zadziwiającą u niego. Chata, sprzęty i przybory zaledwie na okaz zawierają w sobie żelaza, a gdzie je znajdziesz, tam masz do czynienia z dobrobytem, ze zbytkiem górskim. Jak wyż powiedziałem, hucuł, gdy nabył siekierę, dłuto, świder i nóż, jest już panem swych czynów i bytu. Obrał polankę na chatę, lub do smaku przypadający jaki płatek ziemi nad urwiskiem albo strumieniem, i poszedł do „nie samowitego“ czyli wróżbity, aby zapytać, jak wyroczni delfickiej, czy się będzie powodziło na tem miejscu. Nie zapomnijmy dodać, że wprzód spróbował echa, a jak to odpowiedziało, to już pierwszy znak dobry.

Jeżeli nie ma towarzysza w domu, to poprosi sąsiada, poczęstuje, nałoży lulkę bakunem na cały dzień i siekierę weźmie na ramię. Przeżegnawszy się hajże w elastycznych podskokach po drzewo, aby wybrać, ściąć, sprowadzić na miejsce budowy. Ostatnia ta czynność to nie żarty; mieszkaniec równin chociaż obeznany z kniejami, straciłby głowę i ręce by mu opadły, bo drzewo rośnie na stromej górze, zaledwie dla kota lub myszy dostępnej, a pod górą jar i huczący, rwiący strumień, bliżej znowu pod górę, jakby na dach, a hucuł chaty z patyczków stawiać nie lubi. Wybiera więc co najprościejsze i najgrubsze tramowe jodły, i z niezawodną umiejętnością przewraca wierzchołkiem ku górze; następnie poprzecinał na wymierzoną długość, podstawił krótkie saneczki, które przyniósł na plecach, zaprzągł konika huculskiej rasy i już tram na dolinie, lub gdy miejscowość po temu, to stacza największe kloce własną siłą, jakby to była dziecinna zabawka.

Najczęściej tak zgromadzony zasób budulcu nad potokiem przy pierwszej ulewie deszczowej, jak strzała cięciwą pchnięta, zdąża ku miejscu przeznaczenia;*) następnie gazda kupił horyłki,

---

*) Nie da się opisać, z jaką szaloną odwagą i zręcznością spławiają huculi drzewo potokami do Prutu lub też złotą Bystrzycą ku Dniestrowi. Przed dziesiątkiem lat zakupiła spółka niemiecko-francuzka dobra nadwornianskie, obejmujące przeszło 180.000 mórg lasu w górach. Chcąc je zużytkować pobudowano na stokach źródeł pobocznych strumieni wpadających do Prutu i Bystrzycy, śluzy, które tworzą obszerne zbiorniki wody. Gdy już drzewo zostało powiązane w spławy, czyli tratwy wąskie, opatrzone na obu końcach sterami, kierowanemi przez huculów, otwierają śluzy, a masy wody z ogłuszającym hukiem pędzą po kamienistych łożach krętych potoków z taką szybkością, że przebywają przestrzeń półmilową w kilku minutach. Patrząc na spław taki, mimowoli dreszcz grozy przejmuje, i trudno pojąć, jak się tratew nie roztrzaska na zakrętach brzegów skalistych, lub nie zatonie gdy spada z progów kamiennych w kipiącą otchłań zanurzając się cała, wraz z ludźmi, a potem wypływa jak nurek na powierzchnię. Hucuł otrząsł się tylko z zimnej kąpieli, lecz nie wypuścił steru z ręki i jak uragan wpada na prutowe fale. Otóż niemiecka chciwość właścicieli dóbr nadwórniańskich, chcąc takim sposobem skorzystać ze zręczności i odwagi huculów, zniszczyła jednę z najpiękniejszych ozdób doliny Prutu, wodospad na drodze od Delatyna pod Dorą. Wodospad ten, który przez tysiące lat wymył w skałach kilkunasto-sążniową otchłań, przy niskim stanie wody w roku 1868 i 1869 został w znacznej części za pomocą prochu rozsadzony, pomimo przedstawień huculów, że praca ta kosztowna stanie się nieużyteczną. Jak powiedzieli tak się stało. Najcelniejsza ozdoba tych stron zniszczona, a spławy jak dawniej tak i teraz dopiero od Dory mogą być spuszczane. Właściciele dóbr w zarozumiałości swojej, że tylko Niemiec jest zdolny

zaprawił ją miodem; gazdyni upiekła z kukurydzy placków, sprosiło się sąsiadów i dobrych ludzi na tak zwane zakładne; — jak z bicza trzasł, już stają ściany i cała chata. Dopiero wtenczas gazda upiększa ją wycinanemi i wypalanemi arabeskami; wyciosał ławy i wszelkie potrzeby domowe, zawiesił obrazy; gazdyni pokryła stół kilinkiem, który sama utkała, postawiwszy na nim chleb i sól wraz z poczęsnym trunkiem. Przybywa proboszcz konno z djakiem, święci zewnątrz i wewnątrz chatę, a według możności gospodarza odjeżdża z powrotem w towarzystwie jednego lub kilku baranów na ofiarę danych. Huculi słyną dziś z pojęć budowniczych, a na dowód czego, niech posłuży następujący przykład.

Tuż pod Delatynem jest wieś huculska Zarzecze, położona pomiędzy Prutem a pasmem gór wysokich i nieurodzajnych. Dolina nader wąska nie może wyżywić licznych rodzin, to też Zarzeczanie chwytają się przemysłu, jak mogą. Przed laty kilkunastu budował rząd saliny pod Delatynem, a rozsądny budowniczy zbadawszy zręczność hucuła do siekiery, przyjął ich licznie do obróbki drzewa i pomocy przy budowli. Czas tej budowli, mianowicie dla Zarzeczan, stanowi epokę w odrodzeniu nowej gałęzi ważnego przemysłu; była to akademia budownicza dla hucułów, poczem w krótce wyrośli z niej wyborni majstrowie ciesielscy, jak Maksym, Matwij i inni, którzy dziś jako przedsiębiorcy i majstrowie podejmują budowle świątyń, dworów, fabryk i zabudowań gospodarczych. Żaden z tych majstrów nie umie czytać ani pisać; ale pokaż mu najbardziej skombinowany plan budowli, pyta zaraz o skalę, na jaką miarę oznaczona. Patrzy, poduma, przez kilka godzin lub dobę, przychodzi do ciebie i powiada: „Zrozumiałem.“ Możesz mu śmiało zaufać, że wszelkim wymaganiom rysunku, zacząwszy od wyrobu drzewa, obrobienia i użycia, odpowie jak najlepszy majster lub budowniczy, a nawet w potrzebie projektuje bez rysunku najtrudniejsze „szprengwerki“ (jedno z wyrażeń, które jeszcze zapamiętał od budowy salin).

Prowadząc sam dosyć znaczne budowle, pokazywałem takowe fachowym, zdolnym budowniczym; nie dawali wiary z początku, gdy im przedstawiłem takiego Matwija, Maksyma! Dopiero patrząc na precyzję przy stawianiu znacznej budowli drewnianej przyznać musieli, że huculi przewyższają zręcznością robotników ciesielskich nawet w stołecznych miastach. Rozległe gminy górskie jak: Kosmacz, Berezów, Mikuliczyn, Żabie i wiele innych, możnaby łatwo przemienić w nader ważne stacje przemysłu domowego, i ktokolwiek miał sposobność rozpatrzenia się w danych, nie zaprzeczy, że nie dłużej, jak w dziesiątku lat, dobrobyt oddziaływujący na pomyślność kraju mógłby się tam rozwinąć jak pod dotknięciem rószczki czarodziejskiej.

Stowarzyszenie, któreby n. p. pod Delatynem przy bajecznej dotychczasowej taniości drzewa, zajęło się budowaniem na miejscu kształtnych domów mieszkalnych w stylu szwajcarskim lub innym, prowadząc ten przemysł w taki sposób, że budynek ustawiony zupełnie w fabryce, mógłby być rozebrany i przewieziony koleją w dalsze strony (uwzględniając przy budowie silne motory wodne po nad Prutem) stowarzyszenie takie, powtarzam, robiłoby nietylko korzystne interesa, lecz dałoby krajowi licznych i wykształconych cieśli, których po dziś dzień brak wielki.

Zważmy ile rok rocznie kupcy nasi sprowadzają z Czech, Tyrolu, Szwajcarji, Saksonji, Bawarji, Wirtembergji lub z Badeńskiego, rozmaitych wyrobów ręcznych z drzewa, jako to: wszelkich robót drobnych snycerskich, ram, ramek i rameczek, pudełek, toaletek, zegarów ściennych, przyrządów do pisania, kuchennych i wiele innych i zapytajmy, czyje ręce je wykonały? Oto ręce chłopców tamecznych, mających od naszych hucułów mniejszą inteligencję. Zapytajcie izby handlowe w Krakowie i we Lwowie, a przekonacie się, że pieniądze wychodzące z kraju bezpowrotnie na te przedmioty, przedstawiają się w bardzo poważnych sumach. Mając odczyt w Muzeum przemysłowem we Lwowie w grudniu 1875 roku, starałem się przedstawić naocznie rozmaitego rodzaju wyroby drewne, służące mianowicie w gospodarstwie domowem dla naszych gospodyń; w tym celu zebrałem okazy wyrobów drewnych huculskich przeciwstawiając wyroby sprowadzane z Niemiec, któremi kilka firm poważnych handlowych lwowskich prowadzi handel zyskowny. Po przekonaniu się naocznem, samo miasto Lwów sprzedaje takich przyrządów kuchennych, kredensowych za kilkanaście tysięcy złr. rocznie, gdy wyroby huculskie bynajmniej nie ustępują zagranicznym. Uwzględnić przy tem potrzeba, że góral nasz i podgórzanin nie ma dotychczas ani stosownych narzędzi ani wskazówek, jakie służą przemysłowcom małym za granicami kraju.

Zastosowanie przemysłu drzewnego oddziałałoby ze skutkiem na cały łańcuch gór. Rozwój dzisiejszych dróg żelaznych nie tylkoby zatrzymał znaczny kapitał kraju, ale umożebniłby konkurencję na zewnątrz; wszelkie wyroby drzewne zaimponowałyby daleko. Zajrzyjmy do każdego z miejsc kapielowych po za granicą kraju, a wszędzie znajdziemy liczne sklepy napełnione różnolitemi drobnostkami, które mimowoli nęcą oko przyjezdnych i wywabiają z łatwością grosz z kieszeni; a gdy zapytamy o pochodzenie tego przemysłu, dowiemy się, że to dzieci i włościanie okoliczni są tak zręcznymi producentami. Rozpatrzmy się natomiast po Szczawnicy, Krynicy, Iwoniczu, Truskawcu i wszystkich innych kąpielach krajowych: oto wszędzie norymberskie towary lub wiedeńskie, a domowy przemysł zaledwie czasem się okaże w postaci laski jałowcowej lub cybucha, które odarty, wygłodniały chłopak obnosi.

Pomimo najszczerszych chęci wywiezienia z sobą pamiątek dla znajomych, prawie nic, albo bardzo mało znajdziesz z wyrobów przemysłu krajowego. (C. d. n.)

i może ucywilizować hucułów, zekrutowali z całej rzeszy niemieckiej kilkuset flisaków do spławiania drzewa z gór. Lecz ci, pomimo wysokiej płacy, pouciekali jeszcze prędzej jak przybyli mówiąc, że ta robota tylko dla huculskich djabłów. Wieleby było o tem pisać, jakie figle płatali huculi flisakom Niemcom. P, a.

# Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

*(Ciąg dalszy.)*

Ale czas wyjść ze świątyni, w której dysharmonia malowanych linij tak nieprzyjemnie oddziaływa na oko. I nie żałujesz tego bynajmniej, bo oto w stronie wschodnio-północnej kościelnego cmentarza mur kamienny przejrzał arkadowemi podwojami, z których biegną na dół do pięknego ogrodu duże kamienne schody, naokół zaś roztacza się przed tobą przecudny krajobraz górskiego widnokręgu, dla którego podstawą stanęły łamane przeróżnie linje szczytów miasteczka. Dziwna rzecz, iż urok i piękno przyrody danej okolicy zazwyczaj więcej czują obcy, niż miejscowi mieszkańcy. Cała potęga barw i tonów pięknego obrazu jest dla nich najczęściej obojętną. Nie można tego jednakże stosować powszechnie, gdyż fantastyczna kraina Hellady wytworzyła najpotężniejsze kreacje piękna; więc jej mieszkańcy musieli dobrze czuć i rozumieć każde artystyczne zjawisko ojczystej ziemi. Co do nas, tośmy nader mało spotkali mieszkańców górzystej krainy, którzyby się jej widokami zachwycali tyle jak człowiek, wzrosły na równinach. Czy to zjawisko pochodzi ze zobojętnienia, czy też z warunków psychologicznych wypływa, dużoby o tem mówić; że jednak rozwiązywanie podobnych kwestyj nie należy do naszego zakresu, więc poprzestajemy na zanotowaniu, bądź co bądź, nader charakterystycznego rysu w tym względzie.

Było to w jednym z zajazdów tuchowskich, gdzie stanąłem gospodą. Właścicielka zajazdu, jak zwyczajnie w małem miasteczku, zaczęła ze mną żywą rozmowę, w której pomiędzy innemi, na moją admirację tamtejszej okolicy, odpowiedziała z całą powagą racjonalistki: „Przyznam się panu, iż pomimo, że prawie od dziecka mieszkam w Tuchowie i znam okoliczne strony, a jeszczem się nie zastanawiała nad tem, czy okolica nasza jest piękną, czy brzydką; ot zwyczajnie, człowiekowi to nawet nigdy na myśl nie przyjdzie.“ Miała rację poczciwa obywatelka, gdyby bowiem ona i Tuchowianie czuli wdzięk estetyczny miejscowej przyrody, nie pomalowaliby pewno drewnianego posągu św. Florjana stojącego na rynku tak krzyczącemi i jaskrawemi barwami, jakby się na redutę wybierał... Już to doprawdy, owe posągi i figury przydrożne najlepiej mogą świadczyć o artystycznej brzydocie... pełno ich wszędzie, a prawie wszystkie takie niesmaczne, że aż nie miło na nie okiem rzucić.

Czas jednak opuścić Tuchów, tem więcej, że Ciężkowice nie długo stają przed nami. Droga tu już idzie ciągle ponad samem korytem Białej, przedłuża się więc znacznie wskutek licznych zakrętów rzeki. Lecz prowadzenie bitych gościńców obok koryta rzeki należy do właściwości górskiej krainy, ztąd też i drogi żelazne najczęściej taki szlak wybierają dla siebie. Jakoż i kolej tarnowsko-leluchowska wije się ustawicznie tuż nad falami Białej, zacząwszy prawie od samego Tarnowa, hen aż po za Grybów sięgając. Będzie to jedna z piękniejszych linij kolei galicyjskich, która obecnie do Grybowa wprowadzoną została, tak, że już kursują po niej wozy fabryczne.

Oto i Ciężkowice, miasteczko nie duże, po największej części drewniane, które charakterem rynkowych podsieni i kształtem dachów przypomina znamiona XVII lub XVIII stulecia. Nie będziemy nic jednak mówili o samem mieście, albowiem ono nie posiada w sobie żadnego charakterystyczniejszego rysu; więc słówko tylko o jego kościele. Jest to dosyć duża budowla gotyckiego charakteru. Wzniesiona na podstawie dwóch prostokątów, z których mniejszy, tworzący prezbiterjum, zamyka się w stronie absidowej połową ośmiokąta zgodnie z zasadami ostrołuku. Przy głównem zaś wejściu, przeciwległem wielkiemu ołtarzowi, wyrosła ciężka kwadratowa wieża, która podając się w górnych kondygnacjach w ośmiokątną formę, została rozczłonkowaną

kilkoma niedużemi w kamiennych otokach oknami. Patrząc się zdaleka na całość owej świątyni, doznajesz wrażenia, jakbyś widział romańską ciężkiego charakteru budowlę; atmosfera przygniatająca, silne skupienie ducha w ogromie materji stanowią właściwość tego przybytku pańskiego. Zdaje się jednak, iż zjawisko takie powstało z przyczyny niedoprowadzenia budowli do pierwotnego planu; wieża bowiem, mury i potężne szkarpy zapowiadają o wiele podnioślejszą świątynię od tej, która stanęła przed nami. Zresztą ociężałość tego kościoła może pochodzić i z epoki jego powstania, którą jest rok 1528 wyryty gotyckim charakterem, a więc współcześnie, na kamiennej płycie jednej ze szkarp południowej strony.

Pierwsza ćwierć XVI stulecia przynosi Polsce najpiękniejsze zjawiska renesansu, więc gotyk nader nieśmiało występuje wobec nowych motywów sztuki. Jakoż i w naszym kościele znać silnie jego upadek; w odrzwiach np. i oknach wieżycowych ostrołukowe linje stężały tutaj na dobre, a chwiejąc się w masie murów kamiennych wstępują w ślady pełnego łuku renesansowego charakteru. Są to, jakby ostatnie podrygi niegdyś namiętnego życia i cudownej fantazji gotyku. Ciężkowicki zatem kościół z tego jedynie względu zasługuje na uwagę, że uwydatnia w sobie zetknięcie się ostrołuku z zasadami odrodzenia; wprawdzie ostatnie motywa zdaje się czuć tutaj tylko w atmosferze, widać jednak, że zapowiadają pierwiastek silny, kiedy linja gotycka tak raptownie wobec niego stężała.

Pomijając Bobowę, małe miasteczko, nie zwracające na siebie uwagi żadnym przymiotem artystycznym, potrącamy mimochodem o czworoboczny zameczek z basztów pochodzący z XVII stulecia. Chociaż zabytek ten nie ma w sobie nic szczególnego, przecież staje się dla człowieka jakby ożywczym strumieniem na pustkach artystycznych okolic Bobowej. Jego np. okna szerokie przypominają ci coś z kreacyj weneckich lub okien domowych z XVwiecznego ostrołuku. Być może, iż przy bliższem rozpatrzeniu się w owym zabytku odkryłoby się w nim jaki szczegół podnioślejszego znaczenia, nam się jednak spieszy w drodze, przeto nie mamy czasu na taką przyjemność artystyczną.

Tak tedy po drodze z Jeżowa do Grzybowa nie ujrzysz żadnego pomnika architektonicznego, któryby odznaczając się estetycznemi względami, sięgał początkiem swoim średnich stuleci. Tylko malowniczość okolicy i licznie rozsiane wioski urozmaicają tutejsze porzecze Białej. I nie może też być inaczej, skoro okolica ta zaczyna się na dobre zaludniać dopiero w końcu XIII i w XIV stuleciu, ztąd też mało nader osad znalazłbyś w owej stronie z przedłokietkowskiej epoki. Tak np. w r. 1340 kiedy Jan Boży czy Bogusz dostaje przywilej od Kazimierza Wielkiego na założenie miasta Grinberga, co go dzisiaj Grzybowem zowiemy, naokół zielenią się wielkie bory, wśród których mają powstawać nowe osady. W czasach więc, kiedy sztuka romańska spełniła swoją misję, a ostrołuk rozwielmożnił się szeroko, okolica Grybowa wstępowała zaledwo w szranki cywilizacyjnego życia, która już pod Krakowem i dalej liczyła przeszło dwa wieki swojego istnienia. Ponieważ źródło Białej zaczyna się w najniższym łańcuchu Tatrów beskidowych, ztąd porzecze jej było długie wieki jedną z najważniejszych dróg handlowych pomiędzy Polską a Węgrami, która kierując się następnie na Sącz prowadziła towary do starego Krakowa i dalej na Szlązkie obszary. Prawo zaś magdeburgskie, na którego zasadach zaludniała się tutejsza okolica, sprzyjało wielce rozwojowi handlu w tej części podgórza, który zarazem przyszedł do takiego znaczenia, że Kraków nieraz musiał walczyć z jego potęgą.

Kwestja to nader bogata i ważna w cywilizacyjnych stosunkach tej części dawnej Polski, że ona jednak wychodzi po za obręb naszych notatek, więc ją zostawiamy innym piórom, spiesząc natomiast do obejrzenia drewnianego kościoła wzniesionego w Grybowie r. 1455 pod wezwaniem Św. Bernarda. Już sama data erekcyjna świadczy wybornie o charakterze stylowym tej drewnianej świątyni. Jakoż gotyk pełnego rozkwitu, wycisnął na niej wyraźne znamiona; łatwo więc odgadnąć, że wzniesiony został ten zabytek na podstawie dwóch prostokątów, z których węższemu przyszło się zamknąć kształtem połowy ośmiokąta. Takiego charakteru presbiterjum, stanowi jeden z główniejszych typów i właściwości gotycyzmu. Kościółek sam, pomimo że go z drzewa wzniesiono, uwydatnił w sobie wiele bardzo ostrołukowych przymiotów. Nie znajdziesz tu wprawdzie koronkowych rzeźbień rozsutych po szczytach świątyni i po jej nawowych krawędziach, ale za to lekkość ostrołukowa oddana w nim z całem poczuciem piękna. Układ architektoniczny i konstrukcyjne warunki splotły się tu razem na uwydatnienie owego przymiotu i śmiało też powiedzieć możemy, że trudno przyszłoby wskazać drewniany kościółek artystycznego wdzięku, co grybowski.

Nie mógł artysta budowniczy uwydatnić plastycznie ostrołukowych linij na drewnianych zrębach świątyni, więc je przelał w odrzwia główniejszych podwoi, a można nawet powiedzieć, że uczynił to z pewną gracją i całą znajomością zasad panującej podówczas sztuki. Zatem odrzwia owe zatoczywszy się w łamane łuki, powierzchnię swoją obsypały głęboko rzezaną łacińską sentencją, co w treści swojej datę założenia tego przybytku bożego zawarła. A pismo to duże, więc zdaleka niby rzeźbionym wzorem gotyckim wygląda.

Jesteśmy w przedsionku czyli kruchcie kościółka; nim przeto wstąpimy do jego wnętrza, spojrz jeszcze czytelniku na parę obrazów, zawisłych tu na ścianach. Patrz, oto dwa z nich mienią się złotem powleczonem na drzewie w desenie, a na tak przyrządzonem tle występują wyraźnie święte postacie w niedzisiejszych strojach. Odgadniesz zaraz, że owe malowidła parę wieków liczą. Jakoś najpóźniej koniec XV stulecia złożył się na ich stworzenie; poznajesz to zaraz po charakterze świętych osób, układzie onych, ubraniu i technice malarskiej. Widziałeś już takie utwory w Przeworsku, Tarnowie, a w Krakowie ich wiele napotkasz, więc nie trudno ci w nich staroniemiecką szkołę odgadnąć. Głęboki religijny nastrój, szlachetna naiwność i prawie zupełny brak perspektywy stanowią najgłówniejszy charakter owych utworów malarskich. A przecież, mimo wad niektórych, kompozycje te stoją bez porównania wyżej od sąsiednich płóciennych obrazów, co je wiek XVII wytworzył. Podczas bowiem, gdy wady pierwszych tchną świeżością życia i naturalnością charakteru — w ostatnich zespoliły się one z nieznośną manierą i dziwactwem, wynikającem z chęci przypodobania się. Nawet boski wyraz uleciał z nich, a miejsce jego zajął chorobliwy sentymentalizm.

Doznawszy niemiłego uczucia widoku ostatnich obrazów, nie pozbędziesz go się bynajmniej, skoro wejdziesz do wnętrza naszego kościółka. Jeszcześ się bowiem nie rozpatrzył w charakterze malowań sufitowych, aż tu nagle uderzą cię puste ściany, świeżością drzewa świecące. Zrazu nie chcesz wierzyć oczom, ale kiedy się przejrzysz deskom, kiedy przez ich szpary wyjrzy do ciebie święta postać jaka lub zamajaczy malowana groteska, musisz uznać bezmyślność i wandalizm dzisiejszych restauracyj dawnych zabytków sztuki. Oto parę lat temu restaurując tę świątynię obito ją zewnątrz i wewnątrz deskami i... tak skorupą zasłonięto piękne malowidła XVI wieku, co się rozlały po jej nawach. Najciekawszy tedy przymiot artystyczny zniknął dla dzisiejszych pokoleń, tylko sufit i część chórowa ocaliły swoje malowania. Są to przeważnie postacie świętych, sceny biblijne i arabeski możnej i estetycznej fantazji ze wszystkiemi właściwościami wieku oddane. Chociaż malowania te wiele straciły na świeżości barw pierwotnych, przecież i dzisiaj jeszcze zaleca je miękość kształtów i harmonijna potoczystość linji, objawiająca rzeczywiste poczucie piękna średnim stuleciom właściwe, tak że wiele dzisiejszych malowideł świątyń musiałoby im ustąpić.

Nie chcąc zbytecznie przedłużać naszych notatek przeglądaniem zabytków, na których żaden przymiot artystyczny nie zawisł, pomijamy Grybowski murowany kościół parafjalny, co pochodząc z XVIII wieku uwydatnił w sobie zjawiska ciężkości i estetycznego niesmaku. Możeby coś powiedzieć o samem mieście? nie mając przecież na względzie dziejowych wydarzeń miejscowości przez nas zwidzanych, musimy je tu przemilczyć tem więcej, że Grybów mógłby nam ich dosyć bogaty zasób przedstawić. Fizjonomja zaś samego miasta nie przedstawia nic ciekawego, więc nie pozostaje nam nic innego jak wrócić znowu do Tarnowa, by ztamtąd podążyć ku odwiecznemu Krakowu. (C. d. n.)

---

## BIBLIOGRAFJA.

### Polska.

— **Żywot Tadeusza Kościuszki; napisał według źródeł istniejących Teodor Żychliński. Poznań — 1876 r.**

Książkę swą, jak przyznaje, napisał p. Żychliński „z powodu obchodu stuletniej rocznicy ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, chcąc odtworzyć piękny żywot i świetne czyny bohatera, raz na chlubę polskiego imienia, powtóre ku przykładowi dla młodszych pokoleń.“ Pomysł trafny, lecz nie dość mieć pomysł, trzeba go umieć wykonać. „Młodsze pokolenia“ bynajmniej nie będą wdzięczne panu Żychlińskiemu za jego pracę. Praca jego jest to kompilacja z innych autorów, bez krytyki i smaku pobieżnie zrobiona. Postać Kościuszki pod piórem p. Żychlińskiego blednie. Wyszła jakaś mglista, niepewna siebie, nie wiedząca dobrze czego chce i wiecznie płacząca. P. Żychliński nie odtworzył należycie postaci Kościuszki, nawet z roku 1794 — a przecież Kościuszko, pomimo licznych błędów swoich, był tu rzeczywiście wielkim. Wypadki roku 1794 autor zbywa czterma kartkami (str. 37—44); rzucił kilka dat, kilka garści frazesów i nic więcej. Czy to się godziło? Gdyby przynajmniej p. Żychliński postarał się być ścisłym pod względem tych skąpych dat historycznych, jakie podaje, ale i tego nie. Na każdym kroku kłóci się z historją. Książę Witold u niego, już w roku 1306 przodkowi Kościuszki nadaje prawo pieczentowania się lakiem czerwonym, tj. wtenczas, kiedy jeszcze książę Witold nie żył. Przy pierwszym rozbiorze, Polska traci między innemi według p. Żychlińskiego, „starostwo pińskie wraz z częścią Podola“ (str. 22); Igelstrom nazywa się „hr. Engelström,“ jenerał Tormasow, jen. „Tomanasowym“ i t. d.

Powtarza dalej bajkę o zdradzie Ponińskiego pod Maciejowicami, gdy tymczasem powszechnie wiadomo, że ks. Poniński nie przybył na plac boju z tej samej przyczyny, z jakiej w 37 lat później jen. Krukowiecki nie ruszył z pod Białołąki pod Grochów; tu i tam, Kościuszko i Chłopicki sami byli winni. Z Suwarowem nie lepiej się obszedł; p. Żychliński twierdzi, że Suworow przyszedł na pomoc Fersenowi i brał udział w bitwie Maciejowickiej; chyba ptakiem przyleciał, bo od pola bitwy Suworów był wtenczas przynajmniej o jakie mil 15! Fiszerowi także się dobrze dostało; p. Żychliński pogrzebał go niewiadomo kiedy, ale to pewna, że jen. Fiszer według jego zdania już w r. 1798 nie żył: „Kościuszko porzucił Paryż, gdzie w domu jenerałowej Fiszerowej, wdowy po swym adjutancie, miłą zawsze wśród ziomków znajdował rozrywkę"—pisze p. Żychliński, pomimo że dla nikogo nie jest tajemnicą, że jen. Fiszer dopiero w 1812 roku pod Tarautino zginął. Słowem, co krok to fałsz; inne mniej ważne błędy pomijamy, jak też pomijamy zabawne twierdzenie autora, że Kościuszko mając lat 21, był już przyjacielem ks. jenerała Ziem Podolskich Adama Czartoryskiego, a Stanisław August tak się bał zasad republikańskich Kościuszki, że gdy ten z Ameryki powrócił, niemile go nawet przyjął. Wolne żarty panie Żychliński; magnat, wuj króla, nie będzie wdawał się w przyjaźń z ubogim szlachcicem, a przez siebie protegowanym, tak samo jak znów Stanisław August, nie miał tak bardzo czego się bać i z pewnością się nie obawiał zasad republikańskich Kościuszki. Wartoby, aby p. Żychliński wykupił z handlu swoją książkę. Do pisania żywota takiego męża jak Kościuszko, trzeba przystępować z dokładną znajomością rzeczy i z większym namaszczeniem, niż to uczynił p. Żychliński Teodor.

---

# Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura sztuka i nauka.

— Czytamy w „Gazecie Narodowej": Donoszą nam z Monachium, iż znakomity obraz Henryka Siemiradzkiego, „Żywe pochodnie Nerona," został zakupiony za 150.000 marek. Zakupił go pewien Holandczyk, zamieszkały od lat wielu w Kolonji, i przeznacza go dla jednego z europejskich muzeów. Stracona więc została nadzieja oglądania go we Lwowie, o co robiliśmy starania. Obraz z Monachium zawieziony zostanie do Wiednia, zkąd nie wiadomo, czy nabywca odwiezie go wprost na miejsce przeznaczenia, czy też pozwoli na jego wędrówkę po Europie. Mamy i my panów równie bogatych, a nawet bogatszych od owego Holendra, ale żaden z nich nie ma pieniędzy na kupienie arcydzieła narodowego i na wzbogacenie niem jakiego polskiego muzeum. Wolą oni budować pałace dla swoich metres w Paryżu, jak to uczynił jeden z naszych panów, lub też wydawać na inne podobne cele, jak na wsparcie sztuki narodowej, piśmiennictwa narodowego, lub sprawy narodowej. Smutne to ale prawdziwe, że bogacze nasi, z niezmiernie małemi wyjątkami, nie poczuwają się w egoizmie swoim do żadnych obowiązków względem kraju. — Gdyby nie ofiarność i nie pracowitość ludzi ubogich, obdarzonych talentem, o Polsce dzisiaj słychać by nie było, bo panowie jakby się na to zmówili, aby o niej była w Europie cisza.

— Nakładem bibljoteki Kórnickiej w Poznańskiem wyszło w Poznaniu drugie wydanie 9go tomu Aktów Tomickiego czyli Zbioru materjałów do panowania Zygmunta Starego. Pierwsze wydanie było już gotowe w 1862 r.; wydawca jednak Jan hr. Działyński nie puścił go w obieg, spostrzegłszy, że niedość starannie i poprawnie było zredagowane. — Nakładem również bibljoteki Kórnickiej wyszedł tom 2gi „Kursu mechaniki rozumowej" przez G. H. Niewęgłowskiego. Tom ten zawiera na 888 stronicach in 8o: cynematykę, dynamikę, układ materji, hydrostatykę i hydrodynamikę. Tom pierwszy, zawierający statykę i dynamikę punktu, wyszedł w r. 1873. Tamże w Poznaniu wyszedł homograficzny przedruk „Rejowskiej Apokalipsy," naśladujący oryginał z niesłychaną dokładnością — kosztuje 20 marek.

— Jan Matejko wymalował nowy obraz, przedstawiający „Króla Jana III modlącego się przed bitwą z Turkami."

— P. Zygmunt Sarnecki otrzymał koncesję na wydawanie i redagowanie pisma w Warszawie codziennego pt. „Echo." Pismo to, ma ukazywać się na widok publiczny, w zupełnie odmiennej formie, tak zewnętrznej—typograficznej, jak i wewnętrznej—piśmienniczej, niepodobnej do wszelkich naszych publikacyj obecnych i nie wchodzić w drogę ani wielkim gazetom politycznym, pomimo działu politycznego, ani mniejszym organom reprezentującym życie i ruch miejski, pomimo kroniki bieżących wypadków brukowych, ma ono torować sobie nowe ścieżki, wiodące do uznania i sympatji ogółu. „Echo" rozpocznie swoje istnienie w d. 1 Stycznia 1877 roku.

— W przekładzie na język ruski wyszło: Słowo o pułku Igora. Tytuł dzieła, opracowanego starannie przez dr. Emiljana Ogonowskiego, brzmi: Słowo o pułku Ihorewi, Ihorija, syna Światoławlja, wnuka Olhowa w języku staroruskim, po rusku zaś: Pisnia pro wijnu Ihorja Swiatosławycza, wnuka Olehowoho. We Lwowie, nakładem wydawcy. Sam wstęp, w którym zawarty rzut oka na oświatę Rusi w XII wieku, dalej opowiadania latopisów o walce Igorowej, tudzież ocena poetycznej treści pomnika, charakterystyka bohatera opiewanego i rozbiór języka tego utworu, wstęp tedy sam powtarzany zajmuje 44 stronic. Odparł również autor w swoim wstępie podejrzenia, szczególniej ze strony uczonych rossyjskich podnoszone, a zaprzeczające Słowu o pułku... jego pochodzenia z w. XII, podniósł także, iż tekst oryginalny dochował się do dni dzisiejszych w wielu miejscach poprzekręcany, głównie z tego powodu, że przepisywacze zmieniali wiele form, lub przystosowywali je do języka moskiewskiego. Znajdujemy oraz wyliczenie wszystkich wydań Słowa i wszystkich przekładów. Tekst oryginalny z przekładem na język ruski zajmuje 23 stronic, poczem idą objaśnienia. Język przekładu czysty, a pisownia fonetyczna tak zwana „Kuliszówka" użyta tak w przekładzie tekstu jakoteż w cennych i ciekawych wyjaśnieniach, które zajmują większą część dzieła. Książkę tę za cenę 2 zlr. nabywać można w księgarniach Seyfarta i Czajkowskiego, Milikowskiego, tudzież w biórze „Proświty" przy ulicy Krakowskiej nr. 14.

— Z południowej Afryki donoszą o przygotowaniach poczynionych do mającej się odbyć w r. 1877 wystawy międzynarodowej w Cap.

— Wyszła świeżo z druku praca dr. Döringa pod tyt. „Józef Haydn" w przekładzie p. Henryka Bartscha.

— Księgarnia Ungra i Banarskiego ma wkrótce wydać powieść Vernego pt. „Przygody trzech Rossjan i trzech Anglików, przekład Wł. Auczyca.

— W Wiedniu W. von Lindheim wydał po niemiecku statystyczno-etnograficzną rozprawę pt. „Rossja w najnowszych czasach."

— Będąc na kongresie statystycznym w Peszcie p. J. Poznański zajął się kwestją zaprowadzenia nieistniejącej dotąd statystyki obrotów giełdowych i w tym celu wydał broszurę pt. „Memoire et motion sur la necessité et l' utilité de la statistique sur les opérations de bourse."

— W Krakowie, w bibljotece zatytułowanej „Teatr dla młodzieży," a wydawany nakładem Juljusza Wildta, wyszła komedyjka dla dzieci pt. „Próżność ukarana" napisana przez Zygmunta Sarneckiego.

— W drukarni Buszczyńskiego w Toruniu wyszła broszura pt. „Nauka o wyborach," napisana przez majstra od „Przyjaciela," opracowana starannie i bardzo przystępnie.

— Jako uwagi godną nowość ze świata muzycznego, polecamy pięknym czytelniczkom naszym świeżo co wyszłe na fortepjan walce przez p. Zygm. Żakieja, pt. „Souvenir des beaux jours." Słyszeliśmy je, gdy jeszcze przed wydaniem grywane były przez muzykę wojskową, i sumiennie orzec możemy, że należą do najlepszych tego rodzaju kreacyj muzycznych.

### Wykopaliska.

— Kto chce sobie utworzyć dokładne wyobrażenie o przestrzeni i rozkładzie owego sławnego miejsca, z którego niegdyś Rzymianie światem rządzili, ten potrzebuje myślą przenieść się o 5 do 7 metrów głęboko pod obecny bruk uliczny i wystawić sobie podłożny plac równokątowy. Zasypanie takowego nastąpiło po zburzeniu i jest skutkiem naniesionego gruzu od czternastu wieków nagromadzonego. Jeszcze w ósmem stuleciu grunt nie był wcale podniesiony, stało się to dopiero w 11 i 12 wieku, w miarę jak wieże i inne mury ruinami swemi z nim zapełniły ulice ciągnące się około Forum i wszelką z nim komunikację zatamowały. Płyty bazaltowe stanowią pierwotny jego grunt. Najnowsze odkopaliska dokonane zostały w r. 1872 i to na północnej stronie Forum. Główną ich ważność stanowi dolna część murów świątyni Cezara, którą August wzniósł na cześć policzonego do rzędu bogów przybranego ojca (Divus Julius) i po bitwie pod Actium na 29 lat lat przed narodzeniem Chrystusa uroczyście poświęcił. Na odległość metra przed świątynią, znajdują się ruiny estrady pokrytej jeszcze w części ciosowym kamieniem, którą poznano jako szczątki trybuny, z której Marek Antoniusz podczas pogrzebu zamordowanego dyktatora gwałtowną swoją mową podburzał lud rzymski do zemsty i do ukarania zbrodniarzy. Dalej odkryto ważne ze względu na topograficzne znaczenie Forum dwie marmurowe balustrady, zdobne w płaskorzeźby wyobrażające dwa dobroczynne akty cesarza Trajana: karmienie 5000 chłopców i odpuszczenie zaległych podatków. Do charakterystyki tych dwóch balustrad to potrzeba jeszcze dodać, iż widoczne są na nich rysunki przedstawiające ze zwierząt ofiary. Miejscem, na którem takowe spełniano, jest właśnie republikańskie Forum. Inne jeszcze dwa odkrycia dla badaczów archeologji wielce są ciekawe; postument od posągu cesarza Domicjana i osłonięcie głównej arterji Cloaca maxima, od północnej strony bazyliki Julji. Lat tysiące żadnego wpływu na tym podziemnym kanale nie zrobiły, i dziś jeszcze tak jak niegdyś służyć może do odprowadzania ścieków z miasta. Obecnie odsłania się pomału z północno-wschodniej strony Forum świątynia Faustyna i Antoniusza. Ciekawe także w następstwa mogą być roboty prowadzone na południowej stronie Forum, chodzi tu bowiem o odsłonięcie świątyni Westy w kierunku Palatinu i wynalezienie mieszkania Pontifex Maximus. — Kościół St. Maria Liberatrice stojący tamże właśnie na drodze ma być w tym celu zupełnie zniesiony. Jeżeli od Forum zwrócimy uwagę na inne świeższej daty odkopywania, to przedewszystkiem uderza odsłonięcie właściwej powierzchni czyli podłogi sceny w Kolizeum, tego największego w świecie amfiteatru, gdzie 87.000 widzów pomieścić się mogło. Wiadomo, że na otwarcie jego widowiska, które trwały bez przerwy sto dni, więcej jak 5.000 dzikich zwierząt legło ofiarą chciwej tego rodzaju zabaw rzymskiej publiczności. Ponieważ w Kolizeum urządzano także bitwy morskie, więc grunt czyli basen wykładany był ściśle połączoną cegłą, wodę zaś sprowadzano stosownie do tego urządzonym systemem kanałowym do rezerwoarów, w których się przechowywała. W ostatnich czasach rezerwoary te niestety zapełniły się masą wody, której odprowadzenie przedstawia niezwykłe techniczne trudności; tym więc sposobem zwidzanie tych ciekawych zabytków starożytnej sztuki budowniczej dla ogółu utrudnionem zostało. Oprócz powyżej skreślonych odkryć, będących owocem systematycznie i podług z góry obmyślanego planu prowadzonych prac odgrzebywania, w ciągu 1874 roku, w innem miejscu, zdołano odsłonić ogrody Mecenasa a w nich resztki budynku służącego na salę odczytów. — Ów uczony przyjaciel cezara Augusta zapraszał do siebie poetów i przysłuchiwał się dziełom przez nich odczytywanym. W tym właśnie celu wybudował umyślnie salę pięknej architektonicznej konstrukcji, do której światło z góry wpadało. Nie możemy tutaj pominąć milczeniem znalezienia najdawniejszego w bliskości Porta Magiore Kolumbarium (miejsce służące do przechowywania urn z popiołami ludzkiemi). Szczególniej ze względu na ornamentykę pochodzącą z pierwotnych czasów złożenia Rzymu, może współczesną Eneaszowi, Kolumbarium to dla archeologów jest skarbem najwyższej wagi, skarbem nieocenionym.

### Wielkie przedsięwzięcie.

— Niedawno powstał projekt przekopania podmorskiego tunelu pomiędzy Gibraltarem a wybrzeżami lądu Afryki, odległego tylko o mil kilka. Najbardziej myślą tą zajmuje się Anglja, gdyż mając gibraltarską fortecę, posiadłaby tym sposobem klucz nowej linji komunikacyjnej, a zarazem zostałaby właścicielką jedynej drogi lądowej pomiędzy Europą a Afryką. Projekt ten przedstawia wielkie trudności, gdyż przeprowadzając tunel od wybrzeży afrykańskich do Algesiras, należałoby prowadzić go blisko tysiąc metrów pod dnem morskiem.

# ROZMAITOŚCI.

— Ponieważ cały gmach ciała ludzkiego spoczywa na nodze, więc słusznie wnosićby należało, że ludzie starali się zawsze tak sporządzać obuwie, aby ile możności nie przeszkadzało w chodzeniu i w pracy. Tymczasem niejednokrotnie działo się wręcz przeciwnie, i moda, owa kapryśna a absolutna władczyni, często nadając formę obuwiu, zda się zapominała o nodze, i zamiast części ubrania, przynoszącej ulgę i pożytek, tworzyła człowiekowi formalną w chodzeniu przeszkodę. W XI i XII wieku po wszystkich niemal krajach środkowej Europy lud używał drewnianych trzewików o nader pojedynczych kształtach, rzadko ze skóry, gdzieniegdzie, np. w Styrji także z filcu. I w miastach ubierano do domowego użytku obuwie pojedyncze a tanie; w kuchniach i warstatach rzemieślniczych słychać było wszędzie hałas sprawiany drewnianemi trzewikami, które prawdopodobnie nie miały na sobie ani kawałka skóry, gdyż naprzykład jeszcze w XV wieku wiedeńscy szewcy, wyrabiający obuwie z drzewa, tworzyli spólny cech z tokarzami i innymi rzemieślnikami, mającymi z drzewem, i w ogóle z twardym materjałem, do czynienia. Przeciwnie trzewik używany do wychodu na ulicę, był już podówczas przedmiotem wielkiej staranności w wyrobie, a rzemiosło tej kategorji szewców podniosło się było zawczasu do wybitnego znaczenia. Na jednym z najstarszych planów Wiednia, z XII wieku, nazwana jest jedna z ulic, „szewcką,“ a znany fakt o rokoszu tamtejszych szewców przeciw Albrechtowi Imu, i wyzywające ich oświadczenie, że dość mają kopyt zapasem, by niemi zasypać fosę przed burgiem, świadczy wymownie o znacznej liczbie i zuchwałości panów majstrów, dowodzącej także, że im się wcale dobrze wieść musiało. O butach oczywiście nie było jeszcze mowy w tamtych wiekach: mężczyźni czy kobiety, piechury lub kawalerzyści, wszyscy nosili tylko trzewiki. Na jednym z obrazów z XI wieku, który nadto zdaje się być kopją jeszcze wcześniejszego oryginału, wymalowany św. Wacław w czerwonych pończochach, okręconych złocistemi wstążkami, i w trzewikach z ostrogami. Również na niebieskiej chorągwi cechowej, której pragscy szewcy używali jeszcze w XIV wieku, był, jako insignium, wymalowany trzewik z ostrogą. Wnosząc z rozmaitych malarskich zabytków z XIII wieku, zdaje się, iż np. w Czechach nie zawsze noszono trzewiki, ale często ubierano rodzaj długich, obcisłych pończoch, które pod stopą miały podbicie z grubej skóry, wybiegające z pod palców dość ostrem zakończeniem. W Niemczech do XIII wieku obuwie było wcale pojedyńczem i bezpretensjonalnem: na posągach ówczesnych trzewik przylega obcisle do nogi. Za to w Anglji, Francji i Włoszech, już w ciągu XI wieku pojawiły się były trzewiki z tak zwanemi „dziobami,“ które potem ulegały rozmaitym a coraz to niedorzeczniejszym zmianom. Podobny trzewik, pochodzący wrzekomo od sławnej margrabiny Matyldy Toskańskiej, ma się znajdować w jednem z muzeów europejskich. Na austrjackich pieczęciach książęcych pojawiają się takie trzewiki począwszy od XII wieku, a że w sto lat później moda ta i do Czech zaleciała, dowodem wspomniane wyżej ostro zakończone przedłużenia podeszwy u elegantów ówczesnych. Atoli dopiero w połowie XIV wieku trzewik dzioby zapanował ogólnie i odtąd datują się najdziwaczniejsze form jego przemiany. Te dzioby, raz krótsze, to znowu dłuższe, idące poziomo albo łukiem do góry zagięte, były sporządzane najczęściej z żelaza, a do tego jeszcze przyozdabiane a raczej zohydzane przeróżnemi dodatkami. Często na takich „nosach“ trzewikowych świeciły głowy wielkich ludzi starożytności, sceny z dziejów, itp. Jeden z współczesnych moralistów tak uskarża się na modnisiów, przesadzających się na wyścigi w tej mierze: „Ci ludzi bezbożni nie chcą mieć takich nóg, jak je im pan Bóg stworzył, ale przedłużają sobie stopy jakiemiś długiemi, spiczastemi, zakrzywionemi, a iście po djabelsku wyglądającemi nosami.“ Równocześnie w Czechach słychać było o trzewikach z bocianiemi dziobami. Podanie mówi, że w r. 1367 piorun uderzył był tuż koło nóg burgrabiego Wojciecha ze Sławęcina, i odłamał obydwa takie dzioby olbrzymie od jego trzewików, a zresztą tenże nie poniósł najmniejszego na ciele uszkodzenia. Nietylko w życiu powszednim, ale nawet na pola walki ścigała ta moda szalona zwolenników swoich. Dzielni rycerze, którzy pierwej nosili ciężkie ale do żelaznej zbroi wcale stosowne trzewiki żelazne, zamienili je teraz na takie dziwolągi o niezmiernie długich nosach, które im chód uniemożliwiały, gdy zmuszeni byli zleść z konia. Ale też ta uległość rycerzy dla mody miała często nader smutne następstwa. W sławnej bitwie pod Sempach, rycerstwo Leopolda musiało wpierw odrębać sobie nosy u trzewików, zanim mogli ruszyć do boju; i w tym samym roku (1386) mieszczanie Kasselscy przywieźli jako trofea zwycięstwa dwa pełne wozy takich dziobów trzewikowych, które zabrali z pobojowiska odparłszy dzielnie turyngskich rycerzy. Płeć piękna owych czasów nie zdaje się, by przesadzała tak dziwacznie w tym kierunku. Za to próżność jej objawiała się więcej pod względem piękniej, ściśle do nogi przylegającej formy trzewika. Z końcem XIV wieku zaczęła zwolna zatracać się ta szkaradna moda dziobów a w drugiej połowie następnego stulecia nastąpiła zmiana w wręcz przeciwnej mierze. Zamiast owych długich dziobow, końce trzewików były teraz szeroko ścięte. Już jednak w XVI wieku trzewiczki płci pięknej zaczęły przybierać coraz to pojedynczsze a tem samem ładniejsze formy, zbliżające się wielce do dzisiejszych, i w tym kierunku szła odtąd wytrwale reforma ku lepszemu. Niebawem weszły także w używanie pantofelki, a nie tylko do codziennego użytku, ale i w tańcu, co zresztą łatwo zrozumiałe ze względu na lekkość i wygodną formę tego rodzaju obuwia. W XVII wieku moda na chwilę zboczyła z pomyślnie obranej drogi i wprowadziła gdzieniegdzie, a szczególnie we Włoszech, fatalne buciki na niezmiernie wysokich korkach. Jak były takie „zoccoli“ włoskie (wysokie buciki) wygodne i praktyczne, dość powiedzieć, że kobieta mająca takie modne obuwie, nie mogła sama poruszać się, ale musiała być jak niemowlę, za ręką prowadzoną. Wkrótce jednak i ten wybryk został szczęśliwie zarzucony.

— Każdy Chińczyk musi w swoim wieku dziecinnym przejść długi szereg ceremonij, których wyliczenie i opisanie zajęłoby niechybnie spory tomik. Dla ciekawości naszych czytelników przytoczymy tu kilka najbardziej oryginalnych. Gdy niemowlę ukończy pierwszy miesiąc życia, obstrzygają mu zupełnie główkę, przyczem składane bywają pewnej bogini uroczyste dzięki. Po czterech miesiącach najbliższa rodzina zbiera się około dziecięcia, rodzice dają wspaniałą ucztę, a matka matki, jeśli oczywiście żyje, jest obowiązana złożyć dla wnuka rozmaite podarki. Gdy dziecię szczęśliwie rok pierwszy ukończy, znowu odbywają się biesiady i znowu babka i reszta rodziny spieszy z podarkami. Równie niezmiernie solennym bywa obchód, towarzyszący chwili, gdy dziecko po raz pierwszy przez drzwi domu wyjdzie, a później gdy wychodzi z wieku dziecinnego, co ostatnie zwykle się dzieje z ukończeniem 16 roku życia. Jakkolwiek w tak młodym wieku chłopiec niejako na mężczyznę pasowanym bywa, to jednak nie uwalnia się tem z pod ojcowskiej władzy i powagi. Winien on zawsze rodzicowi, jak długo ten żyje, a jeśli wstąpiłby do służby rządowej, to cesarzowi, zajmującemu dlań odtąd miejsce rodziców, posłuszeństwo bezwzględne i szacunek. Rzecz łatwo zrozumiała, że prawo to dotyczy równie córek, a jeszcze w surowszem znaczeniu. Mimo to wszystko i w Chinach nie brak na takich rodzinach, gdzie stosunek wzajemny pomiędzy rodzicami a dziećmi nader chłodny i obojętny, a nawet często zdarza się, że rodzice muszą wzywać pomocy sądowej, by niesfornego potomka nawrócić do winnego im posłuszeństwa i uszanowania. Na ojcobójców istnieją i bywają literalnie wykonywane prawa niezmiernie surowe. Nietylko że takiego zbrodniarza ścinają, ale jeszcze zwłoki jego krają na drobne kawałeczki, burzą do szczętu dom, gdzie mieszkał, nawet podwaliny wykopują; co więcej, dość ciężkie kary spotykają nawet sąsiadów bliskich zabójcy, a urzędnicy w których zakresie zbrodnia spełnioną została, bywają bez odwołania degradowani. W jednej z ksiąg rytualnych, które zostają w wielkiem u Chińczyków poszanowaniu i pietyzmie, jest wiek człowieka w ten sposób zklasyfikowany: „Od urodzenia aż do dziesiątego roku życia, człowiek nazywa się dzieckiem; odtąd zaczyna pobierać nauki; do dwudziestego roku chłopak nazywa się młodzieńcem, po dwudziestym wolno nosić mu czapkę, w trzydziestym roku wstępuje w wiek męski i wolno mu żenić się; w czterdziestym mężczyzna znajduje się w sile wieku i może wstąpić w służbę rządową; w pięćdziesiątym siwieje i jest uzdolniony do piastowania wysokich godności; gdy przekroczy sześćdziesiąt lat, zwany już człowiekiem o podeszłym wieku i może prowadzić pożyteczne sprawy państwowe; w siedmdziesiątym to już starzec, który powinien usunąć się od wszelkiego zgiełku i spraw światowych, w ośmdziesiątym i dziewięćdziesiątym staje się zgrzybiałym i schorzałym starcem, który utracił wzrok, słuch i pamięć. Do siódmego roku życia dziecię jest przedmiotem współczucia i troskliwości, i nie może być, równie jak starzec siedmdziesięcioletni, za zbrodnię do odpowiedzialności pociąganem. Jeśli człowiek dożyje stu lat, powinien być karmiony na równi z niemowlęciem.“

— Lord Clarendon, głośny protektor i znawca sztuk pięknych, kupił był w pobliżu Antwerpji willę, która artystyczną budową swoją, urządzeniem wewnętrznem i obszernym a ślicznym parkiem, pełnym fontan, basenów, wodospadów i t. p. upiększeń wzbudzała ogólne podziwienie i zazdrość. Pewnego dnia przechodził tamtędy antwerpski malarz Adrjan van der Velde, i tak mu się podobał widok tej czarującej posiadłości, że szybko rzucił jej szkic na papier. Za powrotem do Antwerpji, użył tego szkicu za tło do pejzażu, mieszcząc na nim wierną kopję willi i jej otoczenia. W jakiś czas potem powiózł gotowy obraz do Londynu, by go tam spieniężyć na publicznej licytacji rozmaitych dzieł sztuki, na którą zgromadziło się zazwyczaj wielu miłośników i znawców. Malarz naznaczył za pejzaż cenę dwudziestu pięciu gwinei, i postanowił nie sprzedać go taniej. Atoli trwało dość długo, a nie było kupca, któryby ofiarował Veldemu żądaną sumę. Tymczasem Clarendon wrócił do Anglji, powołany jakiemiś sprawami nagłemi, i będąc w Londynie udał się do lokalu, gdzie się odbywała wspomniana licytacja. Zaledwie wszedł do sali obrazów, i rozglądnął się po rozwieszonych płótnach, wnet znalazł pejzaż Veldego, i ze zdziwieniem poznał w nim najdokładniejszą w świecie kopję swojej posiadłości. Właśnie tego dnia licytowano pejzaż, i dość pomyślnie dla malarza, bo wywoływano już pięćdziesiąt kilka gwinei; gdy w tem ku zdumieniu obecnych, dał się słyszeć donośny głos Clarendona, ofiarujący za obraz 100 gwinei. Mimo to znalazł się jakiś zacięty amator, który nie zrażając się dość już wysoką sumą, ofiarował jeszcze wyższą, i czynił to następnie po kilkakroć, przewyższając zawsze Clarendona. W końcu ten, snać znudzony już certacją, zawołał stanowczo; — „Bądź co bądź dobiję targu, bo obraz ten koniecznie moim być musi, i przeto ofiaruję malarzowi „oryginał“ za „kopję.“ Gdy usłyszano wyraz „kopja,“ wszyscy osłupieli, a Velde z obrażoną dumą artysty poskoczył gniewny do Clarendona, i szorstko zapytał go, ażali on dość zna się na sztuce, by w ten sposób wyrazić się o jego pejzażu.—„Jestem znawcą—odparł na to Clarendon — i na dowód tego powtarzam jeszcze raz: Dam panu oryginał za tę kopję.“ — „Alež, na Boga, milordzie, mylisz się, a omyłka ta twoja jest dla mnie zabójczą! — wołał zrozpaczony malarz. Pejzaż ten jest oryginalnym, bo własną ręką zdjąłem go na miejscu.“ „Powtarzam że van der Velde zkopjował tylko ten pejzaż — odparł lord z zimną krwią — i dla tego po raz trzeci ofiarowuję mu oryginał za kopję.“ Teraz dopiero zrozumiał malarz właściwe znaczenie słów lorda. W dwie godziny u najbliższego notarjusza, pejzaż stał się własnością Clarendona, a czarująca tego ostatniego posiadłość koło Antwerpji, której piękną kopją był ów pejzaż, przeszła w posiadanie uszczęśliwionego nad wszelki wyraz malarza. Przy ugodzie lord wymówił sobie w parku willi miejsce na grób swój, i rzeczywiście spoczywa tam pod wspaniałym pomnikiem marmurowym.

## Treść Nr. 9.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).